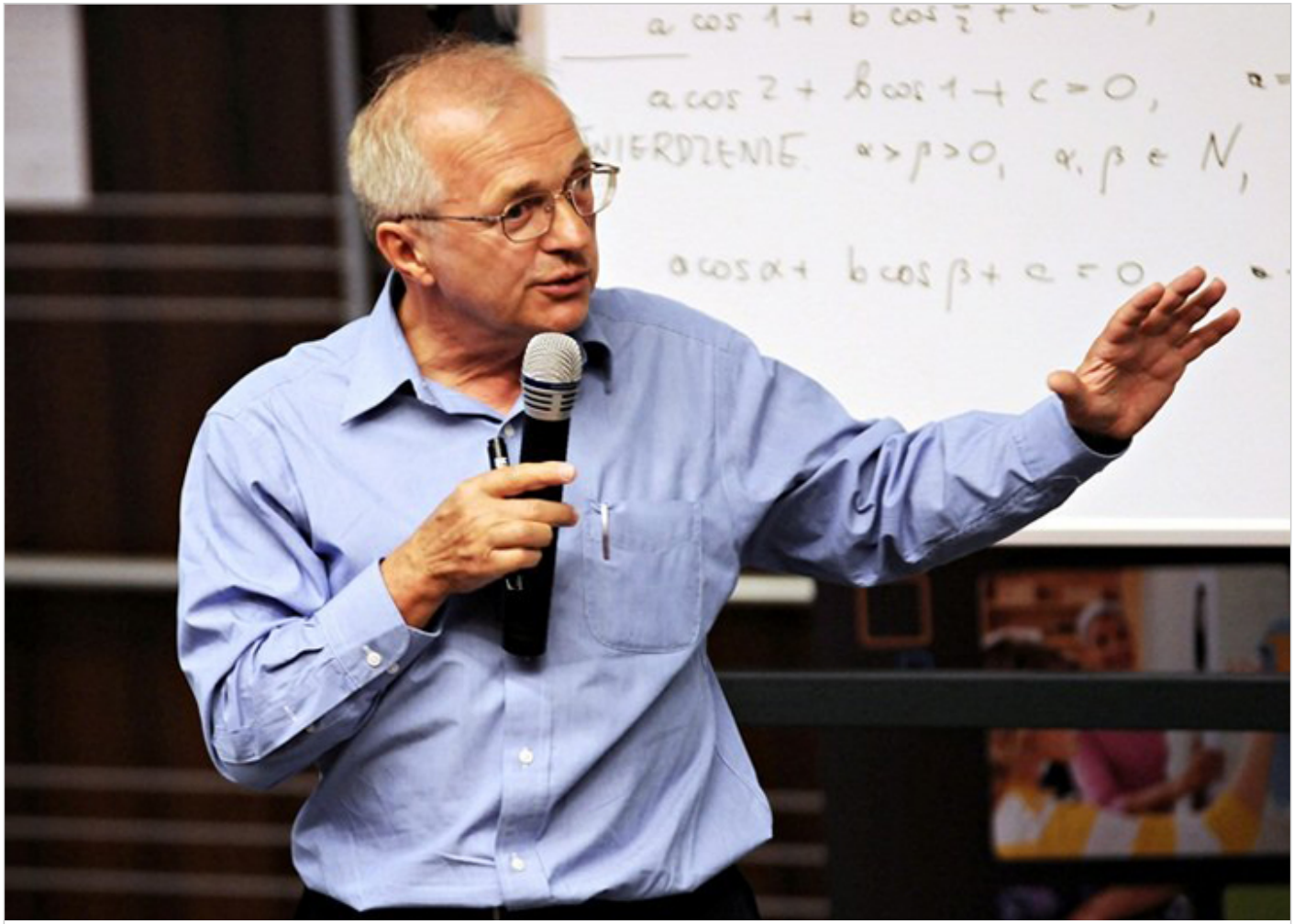
Matematyka to moja miłość!

Rozmowa z HENRYKIEM IWAŃCEM, profesorem matematyki na Rutgers University w stanie New Jersey w USA, laureatem „matematycznego Nobla”, czyli prestiżowej nagrody The Shaw Prize 2015, którą otrzymał 24 września 2015 roku w Hongkongu za swoją działalność naukową.



Henryk Iwaniec, fot. portEl.pl

Janusz Szlechta: Pytać matematyka to trudna sprawa, a pytać mąd

rze to już prawdziwa sztuka. W takim razie zapytam Pana o coś banalnego, w myśl zasady, że nie ma głupich pytań: czy dostał Pan kiedyś w szkole dwóję z matematyki, ale nie za to, że zapomniał Pan zeszytu lub odrobić pracę domową, bo to każdemu może się zdarzyć, ale za źle rozwiązane zadanie?

Henryk Iwaniec: W szkole podstawowej, w której uczyłem się w Elblągu, a skończyłem ją w roku 1961, nie interesowałem się matematyką. Nie przypominam sobie nic takiego, co dotyczyłoby tego pytania. Potem kontynuowałem naukę, razem z bratem bliźniakiem Tadeuszem, w technikum mechanicznym, też w Elblągu. Wówczas obaj zainteresowaliśmy się matematyką. Najpierw uczestniczyliśmy w szkolnych zawodach matematycznych, potem w tych na wyższym szczeblu, już w Gdańsku. Na Politechnice Gdańskiej działało kółko matematyczne i szkoła wysyłała nas raz w miesiącu na te zajęcia.

Kiedy byliśmy w trzeciej klasie, zaczęliśmy brać udział w olimpiadach matematycznych. No i od razu zaczęliśmy odnosić sukcesy. Naszym nauczycielem matematyki był Andrzej Wendecker – wspaniały człowiek i pedagog. Miał taki zwyczaj, że jak brał ucznia do odpowiedzi, to kładł na stole jego zeszyt. Kiedy uczeń udzielał złych odpowiedzi lub w ogóle nie potrafił odpowiedzieć, stopniowo przesuwał zeszyt ku brzegowi stołu, aż do momentu, kiedy spadł na podłogę. Wówczas wiadomo było, że uczeń otrzymywał dwóję! Wyglądało to dosyć kolorowo i dramatycznie. O ile pamiętam, mój zeszyt nigdy nie leżał na podłodze.

Po pewnym czasie nauczyciel już nic ode mnie i od brata nie wymagał, nawet prac domowych nie musieliśmy odrabiać. Jak była klasówka, to prosił nas, abyśmy wyszli z sali i nie

przeszkadzali kolegom. Wszyscy to rozumieli po naszych sukcesach na olimpiadach. Mieliśmy wtedy czas na to, aby odrabiać pracę domową z innego przedmiotu czy też przygotować się na następną lekcję, na przykład z języka polskiego. Praktycznie więc przestaliśmy brać udział w lekcjach matematyki. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek otrzymał dwóję z matematyki.

JSz: Jest Pan absolwentem technikum mechanicznego w Elblągu. Chciałbym się upewnić, czy to właśnie wtedy narodziła się w Panu miłość do matematyki?

HI: Tak. O Einsteinie i jego teorii względności dowiedzieliśmy się z bratem jeszcze w podstawówce z Encyklopedii Powszechnej – zafascynowało nas to, ale oczywiście nic z tego wówczas nie rozumieliśmy. Po sukcesach na olimpiadach matematycznych zaczęła w nas kiełkować fascynacja, a potem – jak to pan określił – miłość do matematyki. U nas w domu nie było tradycji naukowych, matematyka jawiła się jako coś abstrakcyjnego, nieosiągalnego, więc gdyby nie nauka w technikum i olimpiady, to na pewno nie zostalibyśmy matematykami.

Muszę jednak podkreślić, że rodzice, a szczególnie mama, stwarzali nam świetną atmosferę do nauki, zachęcali i okazywali wiarę w nas. W szkole już niewiele mogliśmy się nauczyć, więc tak naprawdę zaczęliśmy studiować matematykę na własną rękę.

Poznaliśmy dzięki temu piękno rozumowania teoretycznego i abstrakcyjnych pojęć. W pewnym momencie zgłębiłem pojęcie funkcji ciągłej. Potem przyswoiłem sobie ogólną definicję ciągłości, gdzie nie wymaga się pojęcia metryki czy dystansu między punktami – obowiązuje tu zasada algebry zbiorów otwartych oraz zamkniętych i tworzonych na nich funkcji. Zafascynowała mnie wówczas potęga umysłu ludzkiego, że można zdefiniować takie pojęcie jak ciągłość, nie używając w ogóle metryki, tylko teorii zbiorów. Dobrze się stało, że przyszło to we właściwej kolejności: najpierw bowiem nauczyłem się klasycznej definicji ciągłości i porządnie to opanowałem, a potem dostrzegłem piękno w abstrakcji. To przychodzi samo i dobrze, że tak się dzieje. Dzisiaj mówię do moich studentów: samo słuchanie wykładów to jest za mało, to trzeba przeżyć samemu, zagłębić się w to, zafascynować.

JSz: Pana brat bliźniak, Tadeusz, też jest dzisiaj znanym i cenionym matematykiem w USA. Czy wspólnie zdecydowaliście, że matematyka to jest to, co dla was jest najlepsze? Czy spieraliście się w przeszłości, gdy przychodziło wam rozwiązywać matematyczne problemy?

HI: Uczyliśmy się w technikum mechanicznym, więc logika by nakazywała, abyśmy podjęli studia techniczne i zostali inżynierami. Rodzice chcieli, abyśmy podjęli studia na politechnice, bo tam zdobywa się dobry zawód. Ale nasze

sukcesy na olimpiadach matematycznych oraz to, że matematyka nami zawładnęła, sprawiły, że wybór studiów i naszej przyszłości był właściwie przesądzony.

Nigdy z bratem nie miałem „matematycznych potyczek", czyli nie było takiej sytuacji – nic takiego nie pamiętam – abyśmy się sprzeczali nad zadaniami czy problemami, które przyszło nam rozwiązać. Natomiast chętnie dyskutowaliśmy, zadawaliśmy sobie nawzajem pytania i próbowaliśmy znaleźć odpowiedź.

JSz: Czy to oznacza, że nie rozmawialiście na przykład o dziewczynach, tylko o matematyce?

HI: No nie, aż tak źle nie było. Rozmawialiśmy o wszystkich naszych codziennych problemach. Zdarzało się nam też, że chodziliśmy na fajne imprezki. Bardzo mi się spodobało, jak ktoś z Elbląga napisał o nas na swoim portalu: „Fajne chłopaki byli".

W klasie było sympatycznie, lubiliśmy się. Wielu naszych kolegów odnosiło sukcesy w różnych dziedzinach, a niektórzy byli nawet świetnymi polonistami. Edward Łuczyński jest teraz profesorem polonistyki na Uniwersytecie Gdańskim. Inny kolega pasjonował się malarstwem, bez przerwy opowiadał nam o kubizmie. Waldek Ryś był świetnym łyżwiarzem szybkim. Potem trenował swoją siostrę Erwinę, która zdobyła wielokrotnie mistrzostwo Polski, była medalistką mistrzostw Europy i świata.

Adam Giersz miał sukcesy w tenisie stołowym, kilka lat temu był ministrem sportu. W naszej klasie nie było konkurowania, zazdrości, a raczej wzajemnie się dopingowaliśmy i podkręcali.

JSz: Widziałem zdjęcie, na którym Pan i brat gracie na gitarach. To było chwilowe zauroczenie muzyką, czy coś poważniejszego?

HI: W pewnym momencie zapisałem się do kółka muzycznego, interesowałem się też malarstwem i elektrotechniką. Warunków fizycznych dla uprawianiu sportu nie miałem, ale raz udało mi się skoczyć w dal ponad 5 metrów. Podczas zajęć w kółku muzycznym nauczyłem się czytać nuty, a potem z bratem grywaliśmy sobie od czasu do czasu, ale zupełnie po amatorsku. To była fajna zabawa, odskocznia od codziennego zagonienia, bo zajęć w szkole mieliśmy sporo i trzeba było naprawdę dużo czasu poświęcać na naukę. Bardzo lubię muzykę, ale nie mam talentu muzycznego. Gitara do dziś leży w pokoju, spoglądam na nią od czasu do czasu, ale od dawna nie gram. Brat grał o wiele dłużej i lepiej, muzyka w pewnym momencie go pochłonęła. Grał nawet etiudy Heitora Villa-Lobosa, co oznacza, że osiągnął naprawdę przyzwoity poziom.

JSz: Razem z bratem skończył Pan studia matematyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Potem przyszedł czas na doktorat, habilitację… Jak wyglądało to Pana wspinanie się po drabinie naukowej?

HI: Miałem to szczęście, że po pierwszym roku studiów uczestniczyłem w wykładach prof. Andrzeja Schinzla w Instytucie Matematycznym Polskiej Akademii Nauk. To znakomity naukowiec, który wywarł na mnie wielki, bardzo pozytywny wpływ. Na uniwersytecie poznałem Kasię, która studiowała ze mną na jednym roku; zaraz po studiach pobraliśmy się.

Na IV roku miałem już oddane do druku dwie prace naukowe. Wydział Matematyki UW otworzył mi przewód doktorski, właśnie na podstawie tych dwóch prac. W Polsce byłby to ewenement, swoisty „Raising Star", gdybym obronił doktorat przed uzyskaniem magisterium. Według przepisów, jest to możliwe, ale trzeba mieć odpowiednie kwalifikacje, musi być też ktoś, kto promuje takiego człowieka. Ostatecznie nie doszło do tego z banalnego powodu – musiałem zdać egzamin z filozofii marksistowskiej.

Mieliśmy kurs filozofii marksistowskiej na wydziale, ale wymagania odnośnie doktoratu były inne. Udałem się do prof. Władysława Krajewskiego, aby umówić się z nim na ten egzamin. Przekazałem mu list od Rady Wydziału. Po jego przeczytaniu zapytał mnie, czy chodziłem na wykłady. Odpowiedziałem, że… nie. A on na to: „Hm, to będzie trudno". Był dla mnie bardzo życzliwy. Powiedział, że da mi materiały do przeczytania, a potem przyjdę na egzamin, kiedy uznam, że jestem gotowy, a on

będzie mnie pytał z tych właśnie materiałów. Dał mi kilka książek i broszur do przeczytania.

Po sześciu miesiącach, kiedy już obroniłem pracę magisterską i podjąłem pracę w Instytucie Matematyki PAN, postanowiłem pójść na ten egzamin. „Przejrzałem te materiały" – powiedziałem skromnie. Nie czułem się mocny w tej filozofii. Profesor najpierw zadał mi pytanie, co to jest solipsyzm. Coś tam mu odpowiedziałem, bo kiedyś czytałem na ten temat. Potem zapytał, czy lubię fizykę. Odpowiedziałem, że tak. „No to co to jest zasada nieoznaczoności Heisenberga?" – zapytał. Oczywiście odpowiedziałem starając się utrzymać ten temat egzaminu jak najdłużej. Chyba wyczuł moje intencje, bo wtedy stwierdził: „Wie pan, jednak to musi być egzamin z filozofii marksistowskiej, muszę panu zadać pytania z tej dziedziny". Zapytał mnie, jaka jest różnica między materializmem a empiriokrytycyzmem według Plechanowa i… wysiadłem kompletnie. Wtedy profesor zapytał: „Czy to będzie fair, jak uśrednię panu ocenę za te trzy pytania?". No i zdałem. Dzięki temu w marcu 1972 roku obroniłem doktorat, czyli 8 miesięcy po uzyskaniu magisterium.

JSz: Czym wówczas się Pan zajmował jako pracownik Instytutu Matematycznego Polskiej Akademii Nauk?

HI: Analityczną teorią liczb, bo to była moja specjalizacja. Zacząłem się w tym specjalizować już na drugim roku studiów.

Profesor Schinzel, który nie pracuje w tej dziedzinie, ale ma dużą wiedzę, dał mi wolną rękę. Widział, że nie potrzebuję żadnej pomocy. Habilitację zrobiłem w roku 1976, cztery lata po doktoracie. Nie było to jakieś szalone tempo, ale nie ma co ukrywać, że wspinałem się po tej drabinie dużo szybciej niż moi koledzy. Brat Tadeusz też szybko zrobił doktorat. Moja żona Kasia obroniła doktorat parę lat po mnie.

To, co robiłem, znalazło szybko oddźwięk za granicą. Miało to znacznie większy wpływ na moją biografię niż terminy, w których to się wydarzyło. Najpierw wyjechałem do Wielkiej Brytanii, aby prowadzić odczyty w Nottingham, Cambridge i w Cardiff. Bardzo słabo mówiłem wówczas po angielsku, bo w technikum uczyłem się tylko rosyjskiego.

Szybko zrozumiałem, że bez angielskiego nie mam żadnych szans na sukces międzynarodowy. Zacząłem więc uczestniczyć w wielu bardzo intensywnych kursach języka angielskiego. Nie mam, niestety, zdolności do języków. Miałem nawet „dziurę” w pracy naukowej, bo absolutnie poświęciłem się nauce angielskiego. W roku akademickim 1976/77 pojechałem do Scuola Normale Superiore di Pisa we Włoszech na stypendium Accademii Nazionale dei Lincei. Co ciekawe, to nie języka włoskiego tam się nauczyłem, lecz poprawiłem swój angielski, bo współpracowałem z Kanadyjczykiem Johnem Friedlanderem, z którym spędzałem większość czasu. To mi bardzo pomogło, bo rozmawiałem z nim

wyłącznie po angielsku. Pobyt we Włoszech otworzył mi okno na świat. Do dziś John, który jest profesorem na Uniwersytecie w Toronto, jest moim głównym współpracownikiem i bliskim przyjacielem.

JSz: Zaczął się Pan otwierać na świat, ale i świat stanął przed Panem otworem. Kiedy i dlaczego wyjechał Pan do Stanów Zjednoczonych?

HI: To nie nastąpiło tak szybko. Najpierw pojeździłem trochę po Europie. W Instytucie Matematycznym PAN nie było obowiązku uczenia studentów, więc łatwiej było wyjechać gdziekolwiek, jeśli był powód. Należy jednak pamiętać, że w czasach PRL-u bardzo trudno było zdobyć papiery upoważniające do wyjazdu. Byłem w Szwecji, Holandii, Finlandii, Niemczech, Związku Radzieckim, wiele razy we Francji i w Anglii. Prowadziłem seminaria i wykłady na konferencjach naukowych. W 1979 roku zostałem zaproszony do Bordeaux, gdzie przez rok prowadziłem wykłady dla doktorantów. Francuskiego troszeczkę złapałem, ale tak naprawdę trudno było mi się porozumiewać w tym języku. Był to jednak dla mnie duży przełom zarówno w życiu osobistym, jak i zawodowym. Złapałem bliski kontakt z matematykami francuskimi w mojej dziedzinie badań, co zaowocowało potem długą współpracą. Francuzi docenili moją pracę i 10 lat temu otrzymałem nawet tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu w Bordeaux.

Do Stanów Zjednoczonych wyjechaliśmy we wrześniu 1983 roku. Nie miałem wówczas żadnych ukrytych planów, aby zostać w tym kraju na stałe. Otrzymałem bardzo prestiżowe zaproszenie na rok do Instytutu Badań Zaawansowanych w Princeton. Amerykanie uruchomili specjalny program matematyczny z mojej dziedziny i właśnie mnie zaproszono do realizacji tego programu, jako że już byłem osobą dosyć dobrze znaną w świecie matematycznym. Był to decydujący argument dla mojego szefostwa w PAN, aby mnie puścić. Uznano, że jest to zaproszenie równoznaczne z tym, jakby polską primadonnę zaproszono do Metropolitan Opera w Nowym Jorku.

Tuż przed wyjazdem do USA, wiosną 1983 roku, zostałem promowany na profesora. W Belwederze uścisnął mi dłoń prof. Henryk Jabłoński, ówczesny przewodniczący Rady Państwa. Rodzina czekała na mnie za płotem, bo nie pozwolili im wejść do środka. W tym samym roku, też przed wyjazdem, zostałem członkiem korespondencyjnym Polskiej Akademii Nauk.

Do Stanów przyjechałem z żoną i dwiema córkami: Ania miała 5 lat, a Irenka – 10. Po roku chciałem wracać do Polski, ale dostałem kolejne zaproszenie z Michigan University w Ann Arbor. Pracował tam już mój brat Tadeusz, który wcześniej otrzymał zaproszenie z tego uniwersytetu. Nie było w tym żadnych kombinacji, żadnej konspiracji, to był zupełny przypadek. W Michigan pracowałem tylko przez jeden semestr

letni i chciałem wracać do Polski. Wówczas doszliśmy z żoną do wniosku, że może by jednak troszkę dłużej zostać w Stanach ze względu na dzieci.

Pozwoliło nam zostać kolejne zaproszenie na jeden semestr, które otrzymałem z Uniwersytetu Kolorado w Boulder. Otrzymałem tytuł „Ulam Distinguish Visiting Professor". Prof. Stanisław Ulam z Polski, który pracował na Uniwersytecie w Boulder, to znakomita postać. Był przedstawicielem lwowskiej szkoły matematycznej, a potem współtwórcą amerykańskiej bomby termojądrowej. Niestety, zmarł kilka miesięcy przed moim przyjazdem do Boulder.

Praca na Uniwersytecie Kolorado to był dla mnie i dla mojej rodziny piękny czas. Wówczas zacząłem myśleć zdecydowanie o powrocie do Polski. Tym bardziej że zaczął się o mnie dopominać Instytut Matematyczny PAN w Warszawie. Domagali się, abym wracał.

W tym czasie otrzymałem jednak kolejne zaproszenie – tym razem z Uniwersytetu w Teksasie. Napisałem list, że chętnie podejmę u nich pracę w jednym semestrze – wiosną 1985 roku. Następnego dnia, po wysłaniu tego listu, otrzymałem zaproszenie z Institute for Advanced Study w Princeton na 3 lata – czyli z tego samego Instytutu, w którym podjąłem pierwszą pracę w USA. Po namyśle stwierdziłem, że nie jadę do Teksasu,

tylko do Princeton. Nie było wówczas internetu, więc zadzwoniłem do Teksasu i poprosiłem, aby zniszczyli mój list przed otwarciem, kiedy go otrzymają. I udało się. Zacząłem negocjować z Warszawą, aby wyrazili zgodę na mój dalszy pobyt w USA, co było naprawdę trudne. Musiałem aplikować o zwolnienie z pracy w IMPAN. Ostatecznie wylądowaliśmy znowu w Princeton. Tutaj zapuściliśmy korzenie. Dzieci uczyły się w amerykańskich szkołach, a ja miałem wyśmienite warunki do pracy.

JSz: Pana żona jest doktorem matematyki… Czym ona zajmowała się w tym czasie?

HI: Kasia nie miała jeszcze wówczas pozwolenia na pracę w USA, więc zajmowała się domem i dziećmi – tak ustaliliśmy i to było najlepsze rozwiązanie. Nie musiała pracować. Później odkryła w sobie talent artystyczny, gdzieś tam zagubiony, i zaczęła malować obrazy. I robi to świetnie.

JSz: Kiedy zaczęliście dojrzewać do tego, że jednak zostaniecie na stałe w Stanach Zjednoczonych?

HI: Dojrzeliśmy jesienią 1986 roku. I wtedy tak naprawdę zaczęła się nasza emigracja.

Byłem już znany, stąd też miałem różne propozycje – chcieli mnie

na przykład zatrudnić na Stanford University w Kalifornii. Ale przebił wszystkich wiceprezydent Rutgers University w New Brunswick, NJ, który zaprosił mnie na spotkanie. Od razu zaproponował mi stanowisko New Jersey State Professor. W całym stanie było tylko 8 takich stanowisk. Nie musiałem więc wspinać się po żadnych drabinach. Wiem, że Polaków w Stanach traktuje się gorzej niż Niemców, Francuzów, Anglików czy Rosjan, mimo że jesteśmy często lepsi, bardziej potrzebni. Według mnie jest to taki amerykański syndrom. Tymczasem ja, Polak, zostałem potraktowany tak, jak należy, czyli z szacunkiem i uznaniem. Nikt nie kwestionował moich dyplomów i kompetencji. To mi zaimponowało.

W styczniu 1987 roku podjąłem już stałą pracę jako profesor Rutgers University. Otrzymałem też znakomite warunki i wynagrodzenie. Myślę, że nikt by nie odrzucił takiej oferty.

Prof. Andrzej Schinzel, który musiał dla PAN napisać raport na temat mojej rezygnacji z pracy w Polsce, napisał dosłownie: „Henryk wyjechał w 1983 roku do Stanów Zjednoczonych i… już nie wrócił”. Ja mu odpowiedziałem wówczas: „Andrzej, godzina odlotu z lotniska Okęcie nie jest dla mnie datą wyemigrowania z Polski. Moja emigracja zaczęła się wówczas, kiedy zadecydowałem, że chcę być w Stanach”. Taka jest prawda. Bo ja nie chcę mieć zanotowane w papierach, że okłamywałem instytucję, w której zacząłem swoją naukową karierę – nigdy tak

nie było. Dbam bowiem o niuanse dotyczące mojego życia i pracy. Ja czuję się absolutnie Polakiem i to się nie zmieni. Dzisiaj fizyczna obecność w danym miejscu już nie jest tak istotna, liczy się to, co masz w sercu.



Henryk Iwaniec, fot. Janusz Szlechta.

JSz: W domu rozmawialiście z dziećmi po polsku?

HI: Oczywiście, bo nasz dom jest polskim domem.

JSz: A jak dzisiaj córki przyjadą – to już w końcu dojrzałe

kobiety, które mają amerykańskich mężów i dzieci – też rozmawiacie po polsku?

HI: Tak, bo tu nic się nie zmieniło. Irenka mówi bardzo dobrze po polsku, a Ania rozumie po polsku i w tym języku do niej mówię, chociaż woli odpowiadać po angielsku. Nie dziwię się, w końcu miała tylko 5 lat, gdy wyjechaliśmy z Polski, i cały czas ma do czynienia z Amerykanami. Kiedy zauważyliśmy w pewnym momencie, że traci kontakt z językiem polskim, wysłaliśmy ją na jeden semestr do szkoły w Polsce. Nie było to łatwe, długo przekonywaliśmy pryncypała High School w West Windsor, aby wyraził na to zgodę. Nie miał pojęcia o Polsce – czy to jest rzeka, czy kraj; twierdził, że Ania niczego tam się nie nauczy. Zapytałem go wówczas, czy wie, dlaczego ja dzisiaj jestem w USA. Zaniemówił i… wyraził zgodę. I dzięki temu, że Ania była kilka miesięcy w Warszawie, zachowała język polski i zdobyła dodatkową wiedzę na temat Polski i Europy. Była bardzo dobrą uczennicą. Potem skończyła studia inżynierskie w CALTECH w Pasadenie. Irenka skończyła studia artystyczne na Cooper Union w Nowym Jorku. Ania szybko zrobiła doktorat z inżynierii medycznej, teraz ma tytuł profesora i prowadzi wykłady w Kalifornii. Ma trójkę dzieci. Nie ukrywam, że jesteśmy z nich dumni.

JSz: Dla wszystkich emigrantów język jest sporym problemem. Mówił Pan wcześniej o swoich problemach, ale proszę

powiedzieć, jak szybko poradził Pan sobie z opanowaniem zawodowego języka angielskiego i czy Pana zdolności matematyczne były tu pomocne?

HI: Ubolewam nad tym, ale nie mam talentu do języków. Uparłem się jednak, dużo się uczyłem… Jak przyjechałem do USA, to już dobrze mówiłem po angielsku i nie miałem żadnych problemów z tym językiem. Oczywiście, mam wyraźny akcent, ale to mi nie przeszkadza w niczym.

JSz: Co było większym dla Pana problemem na początku pobytu w USA: kariera zawodowa czy proza życia, czyli to wszystko, co dotyczy spraw codziennych?

HI: Jak patrzę na kolegów czy ludzi z młodszej generacji i widzę, z jakimi problemami się borykają, jakie bariery muszą pokonywać, to z ulgą sobie myślę, że ja czegoś takiego nie przeżywałem. Stawiałem pierwsze kroki w Ameryce w Institute for Advanced Study w Princeton w stanie New Jersey, który ma ogromną renomę, jest świetnie zorganizowany. Nie musiałem budować swojej kariery w Stanach – dla mnie to była kontynuacja, a nie budowanie kariery. Nigdy też nie musiałem starać się o pracę – nie znam tego pojęcia. Pamiętam rozmowy z córkami, jak one musiały od początku uczyć się, a potem szukać tutaj miejsca dla siebie. Im o tyle było łatwiej, że wychowały się w Ameryce i naturalnie były przygotowane do takiego startu.

Oczywiście, nie byłem wolny od problemów dnia codziennego, martwiłem się, jak wszystko się ułoży. Z troską spoglądałem na dzieciaki i razem z żoną robiliśmy wszystko, aby im się powiodło w życiu.

JSz: Czy możliwe jest, aby w auli pełnej chińskich studentów, mając do dyspozycji tylko kredę i tablicę, poprowadzić interesujący wykład z matematyki tak, aby wszyscy go zrozumieli? Czy matematyka jest na tyle uniwersalnym językiem, że przełamuje bariery międzykulturowe?

HI: Odpowiedź jest bardzo prosta: tak! Matematyka jest językiem uniwersalnym. Chińczyk, Japończyk czy ktoś z Mozambiku bez problemu ją zrozumie. Oczywiście pod warunkiem, że zna matematykę. Jest to tylko kwestia poziomu słuchaczy. O tym, że Chińczycy znają matematykę i lubią ją, najlepiej świadczy fakt, że mamy na uniwersytetach amerykańskich wielu studentów z Chin. W Chinach byłem trzy razy, a czwarty raz pojechałem do Hongkongu odebrać nagrodę. Lubię tych studentów, bo traktują mnie jako ważnego nauczyciela, są wdzięczni za naukę – w odróżnieniu od niektórych studentów z innych krajów.

JSz: Czy współcześnie istnieją szkoły matematyczne, podobne do tych z początku XX wieku – chociażby słynnej szkoły lwowskiej? Jeśli tak, to czy podział wynika z geografii, granic

administracyjnych, czy może raczej ze sposobu myślenia, filozofii, uwarunkowań kulturowych?

HI: Moim zdaniem jest to raczej kwestia tradycji. Słynna polska szkoła matematyczna w okresie międzywojennym, a lwowska w szczególności, wyrosła na tym, że powstała nowa dziedzina matematyki – analiza funkcjonalna – i jako nowa dziedzina otworzyła się na wiele problemów, niedotkniętych jeszcze przez innych, co pozwoliło zabłysnąć polskim matematykom. To nie jest – moim zdaniem – możliwe, jeśli w danym ośrodku nie ma tradycji. Oczywiście, można coś nowego wymyślić i… niewiele z tego tak naprawdę wynika. Chodzi o to, aby to była trafna i potrzebna dziedzina, na przykład do rozwoju fizyki. Trzeba podkreślić, że tutaj ta polska szkoła popisała się i stworzyła coś nowego, co inni na świecie od Polaków potem przejęli. To nie byłoby jeszcze samo w sobie wystarczające gdyby nie fakt, że to się okazało fundamentalne dla rozwoju matematyki w tamtym okresie. Szkoła lwowska znakomicie prosperowała i to nie tylko w analizie funkcjonalnej, ale także w teorii zbiorów czy topologii. Wielką postacią był tu Stefan Banach, ale także Hugon Steinhaus czy Stanisław Mazur. Mógłbym o tym mówić długo, bo to jest bardzo ciekawa historia.

Jeszcze raz chciałbym podkreślić, że to jest kwestia tradycji w danym ośrodku, a nie jakiejś tam przewagi jednej nacji nad drugą. W Mozambiku nie ma żadnej szkoły matematycznej tylko

dlatego, że nie ma tam nikogo, kto by ją zaczął tworzyć. Nie ma wystarczających warunków, dobrze postawionego szkolnictwa i odpowiednich nakładów. Ja pewnie też nie zostałbym matematykiem, gdyby polskie Ministerstwo Oświaty nie stworzyło olimpiady matematycznej.

W Stanach Zjednoczonych sporo wydaje się na naukę i mówi się, że potrzeba jeszcze więcej – zazwyczaj podczas kampanii wyborczych. Kiedy Rosjanie wysłali swój sputnik na orbitę wokół naszej planety i łunochod na Księżyc, w USA wybuchła panika, że Amerykanie zostają w tyle. I to podziałało – zaraz zaczęto zwiększać środki na rozwój tej dziedziny. Nikt nie ma wątpliwości, że amerykańska nauka jest w czołówce na świecie – to się bierze z nakładów i zrozumienia administracji rządowej. Rząd amerykański oczywiście inwestuje, ale też jest wielu filantropów, którzy tworzą prywatne instytuty, a także wspierają finansowo najlepsze uczelnie. Facet, który handluje elektroniką, zbudował w Palo Alto w Kalifornii wielki matematyczny instytut naukowy. Wynika to ze zrozumienia, że nakłady na naukę przynoszą różnego rodzaju korzyści dla kraju i pozwalają ściągać z zagranicy świetnych naukowców. Oczywiście nie wszystko w USA jest tak do końca fajne i pozytywne – ale to już temat na inną dyskusję. W Polsce nie ma jeszcze na tyle rozwiniętego kapitalizmu, aby taka filantropia była powszechna i miała istotne znaczenie dla nauki.

JSz: Czy dzisiaj możemy więc mówić o jakiejś konkretnej szkole matematycznej?

HI: Tak… i nie. Globalizacja, nie tylko ekonomiczna, ale także i naukowa, sprawia, że te ośrodki w dawnym stylu giną. Są oczywiście silne ośrodki badawcze w jakiejś konkretnej dziedzinie, ale przede wszystkim tam, gdzie znajdują się silne osobowości i środki finansowe. Na przykład Węgrzy są znani w świecie z tego, że mają mocne ośrodki w dziedzinach matematyki dyskretnej, takich jak kombinatoryka czy teoria grafów. Jest to kontynuacja ich tradycji.

W ostatnich latach w Polsce mamy raczej „suszę". Są oczywiście całkiem dobre uniwersytety, instytuty, ale konkurencja jest coraz większa i trudno jest znaleźć swoje szczególne miejsce. Dwa lata temu został zorganizowany kolejny wielki międzynarodowy kongres matematyczny w Korei Południowej, na który nikt z Polski nie został zaproszony do wygłoszenia odczytu. To było smutne. W ostatnich latach na arenie międzynarodowej polska matematyka jest mało widoczna, niewiele ma do powiedzenia. Nie rozdzierałbym jednak szat z tego powodu, bo zawsze i wszędzie bywają słabsze lata, tak jak w sadach owocowych.

JSz: Czy istnieje żargon matematyczny? Jeśli tak, to czy polski różni się na przykład od amerykańskiego i czy w związku z tym miał Pan trudności z komunikacją i zrozumieniem z

matematykami amerykańskimi?

HI: Istnieje oczywiście żargon, i to bardzo silny. Trudności w komunikowaniu się nie wynikają wcale z przynależności narodowej. I to nie jest problem jednego pokolenia, lecz wynika on z całego rozwoju matematyki. Na przykład istnieją terminy, które zostały stworzone kilkaset lat temu i są używane do dziś. Abyśmy mogli się porozumiewać, potrzebne jest konkretne słownictwo. Zamiast wymyślać jakieś dziwne określenia, najlepiej jest je porównać do czegoś, co istnieje już w naszym świecie. Na przykład po polsku mówi się „ciało", a po angielsku „field" – ale to nie ma nic wspólnego z naszym ciałem, lecz z algebraiczną strukturą. Tego trzeba się po prostu nauczyć, aby móc operować w teorii i być zrozumianym podczas jej prezentacji. To tak, jak niektórzy chcieliby, aby esperanto było językiem międzynarodowym… Rzecz w tym, że jest to martwy język, a żywym językiem, najlepszym dla komunikowania się między ludźmi jest angielski.

JSz: Amerykańskie uniwersytety to specyficzne miejsce na ziemi, a wydziały matematyczne na nich to wyjątkowe miejsce we wszechświecie, ale Pan unosi się tam z łatwością. Prawie nie odczuwając „grawitacji", szybuje Pan między jedną gwiazdą a drugą, czyli… między jedną nagrodą a drugą. Czy nie odczuwa Pan z tego powodu zazdrości wśród kolegów po fachu?

HI: Raczej nie odczuwam, bo to do mnie nie dociera. Może dlatego, że matematycy zazwyczaj nie robią interesu ze swojej działalności twórczej. A może też dlatego, że osiągnięcia matematyczne są tak bezsprzeczne, precyzyjne, że nie sposób się do nich przyczepić. Jedyna rzecz, która może budzić kontrowersje, to czy uzyskany wynik jest głęboki, ciekawy i potrzebny dla innych badań.

Oczywiście jest konkurencja, bo tego się nie uniknie. Ponadto osiągnięcie konkretnego matematyka jest często rezultatem pracy wielu innych ludzi, i to na przestrzeni lat. Jeśli ja postawię kropkę nad „i", to głupio jest się tego czepiać. Ktoś może czuć najwyżej niedosyt, że nie on to uczynił. Myślę, że podobnie jest i w innych dziedzinach nauki.

JSz: Czy na co dzień pracuje Pan tylko z Amerykanami, czy również z naukowcami innych narodowości?

HI: Prawdę powiedziawszy to nawet nie zastanawiałem się nad tym, bo nie ma to większego znaczenia. Komunikacja komputerowa tak wszystko pozmieniała, że dzisiaj praktycznie się nie odczuwa, czy ma się do czynienia z Włochem czy Japończykiem. Głównie pracuję z Amerykanami, ale to wynika z faktu, że pracuję na amerykańskim uniwersytecie, na którym dominują. Mam kontakt osobisty z naukowcami z różnych krajów, którzy pracują na Rutgers University.

JSz: Czy trudno było Panu zaadaptować się w amerykańskim środowisku matematycznym?

HI: Nie miałem żadnych problemów. Chyba nie pomylę się, jeśli powiem, że 60 procent wielkich naukowców pracujących na amerykańskich uniwersytetach czy w instytutach to są ludzie z zagranicy. Gdyby ci ludzie mieli problemy adaptacyjne, na pewno nie byliby tacy dobrzy w swoich dziedzinach. Potem się słyszy, że kolejną prestiżową nagrodę otrzymał wybitny amerykański naukowiec… Przecież ja też jestem klasyfikowany jako naukowiec amerykański.

JSz: Nie pytam o szczegóły, ale czym zajmuje się Pan, jako matematyk? Czy może to zrozumieć zwykły człowiek, taki jak ja?

HI: Oczywiście. Ja zajmuję się teorią liczb. Szczególnie pasjonuje mnie teoria liczb pierwszych, czyli nierozkładalnych. Liczby pierwsze są niczym cząstki elementarne w budowie materii: 2, 3, 5, 7, 11, 13, 15, 17, 19… Jedynka nie jest liczba pierwszą – są oczywiście tego powody. Związane są z nimi pasjonujące problemy i są to jedne z najistotniejszych problemów do dziś nierozwiązanych we współczesnej matematyce. Jeden z nich przedstawia hipoteza Riemanna. Hipoteza ta, sformułowana w 1859 roku, dotyczy badanej przez niemieckiego matematyka Bernharda Riemanna funkcji dzeta. Jest to funkcja analityczna zmiennej zespolonej. Mówi ona, że zera tej dzeta funkcji, tzw.

nietrywialne zera (nierzeczywiste), mają część rzeczywistą równą 1/2. Ma to duży związek z rozmieszczeniem liczb pierwszych. Mamy nieskończoną ilość liczb pierwszych i jeśli chcemy zbadać ich mnogość to liczymy je do dowolnie wybranej wielkości x – i pytamy wówczas, ile ich jest. Okazuje się, że w dobrym przybliżeniu jest to x podzielone przez logarytm z x. Pytanie jest, ile ich jest naprawdę, czy otrzymamy precyzyjny wynik. Hipoteza Riemanna mówi, że błąd w asymptotycznym przybliżeniu wynosi około pierwiastek z wielkości x.

Jest to bardzo głęboka hipoteza. Każdy byłby dumny z jej udowodnienia. Problem ten ma duże znaczenie dla całej matematyki – w szczególności dla teorii liczb. Cieszę się, kiedy podczas wręczania jakiejś nagrody, podkreślane jest moje zainteresowanie teorią liczb pierwszych. Zajmuję się też teorią funkcji automorficznych, a jeszcze idąc dalej – spektralną teorią funkcji automorficznych. O tym mogę mówić raczej ze specjalistami. Mam tu różne osiągnięcia, które są już mniej uchwytne.

JSz: Czy może Pan zatem wyjaśnić – o czym zresztą mówił pan podczas spotkania w Druch Studio Gallery w Trenton w stanie New Jersey – która liczba jest większa: 2/3 czy 3/5?

HI: To był żart. Wielu młodych ludzi ma problem ze zrozumieniem podstaw matematyki, mają bowiem uprzedzenia.

Słynny rosyjski matematyk Gelfand Izrail Moisiejewicz uczył studentów, jak należy podchodzić do matematyki, gdyż – oprócz badań naukowych – zajmował się również pedagogiką. Kiedyś dziennikarz zapytał go, jak on to robi, że tak skutecznie uczy. Prof. Gelfand stwierdził, że każdego można nauczyć matematyki i każdy jest w stanie ją zrozumieć, ale trzeba mieć odpowiednie podejście. I stwierdził: jak na ulicy w Moskwie zapytasz przechodnia, która liczba jest większa: 2/3 czy 3/5 – to wzruszy ramionami i bezradnie rozłoży ręce. Ale sprawa staje się jasna, kiedy zapytasz: czy lepiej mieć trzy butelki wódki na dwie osoby, czy pięć butelek na trzy osoby? Wówczas każdy szybko odpowie, co jest lepsze.

Matematyka jest piękna, dlatego nie bardzo rozumiem, dlaczego nie może się przebić przez wszelkie uprzedzenia w szkołach i dlaczego tak dużo młodych ludzi jej się boi. Ale tak naprawdę każdy, kto lubi myśleć – polubi matematykę.



JSz: Otrzymał Pan bardzo prestiżową w świecie naukowym nagrodę Shaw Prize 2015 za stworzenie i rozbudowanie podstawowych narzędzi w teorii liczb, które pozwoliły Panu i innym rozwiązać wiele otwartych problemów matematycznych. Niedawno stwierdził Pan: „Bawię się matematyką". Potem Pan dodał, że to co Pan robi, tak naprawdę trudne jest do przełożenia na praktykę. Ale przecież wiemy ze źródeł naukowych, że Pańskie dokonania przekładają się jednak na konkretne zastosowania, m.in. w szeroko pojętych dziedzinach informatycznych i kryptografii. No to jak to jest naprawdę?

HI: Muszę dodać, że tak naprawdę Shaw Prize 2015 otrzymałem nie tylko za osiągnięcia w teorii liczb. W prasie wyszczególnia się jeden konkretny wynik o liczbach pierwszych, za który przyznano mi tę nagrodę, lecz tak naprawdę jest to nagroda za szersze osiągnięcia w matematyce, bo przecież nie jestem już taki młody. Bardzo sprytnie to sformułowano. Ja uważam jednak, że to jest mój „lifetime achievement", czyli nagroda „za całokształt".

Moje wyniki nie przekładają się w istocie bezpośrednio na przykład na kryptografię, natomiast prace w dziedzinie liczb pierwszych rzeczywiście się przekładają i to w znacznym stopniu. Najbardziej skuteczne algorytmy do kryptografii są oparte na pewnych twierdzeniach dotyczących liczb pierwszych, tylko że ja osobiście nie mam na to wpływu. Bo ja nie mam wpływu na to, jakich matematyków zatrudnia na przykład AT&T czy nowojorska

giełda i co oni robią – nie ulega jednak wątpliwości, że oni wykorzystują to, co ja osiągnąłem i udowodniłem. Ale to jest ich praca, to są ich osiągnięcia.

JSz: Kiedy Pan się dowiedział, że przyznana Panu została ta nagroda?

HI: 1 czerwca 2015 roku. Otrzymałem e-maila z Hongkongu. Często pracuję w nocy, nawet do rana. I tak samo było wówczas. W pewnym momencie kliknąłem i widzę, że jest e-mail. Przez kilka sekund zastanawiałem się, co to jest. Otworzyłem go i przeczytałem… Poczułem się radośnie zaskoczony. Całą noc już nie mogłem zmrużyć oka. Zrobiłem sobie jeszcze jedną kawę. Doczekałem do oficjalnej ceremonii, która była na żywo transmitowana. Kilka godzin później, na konferencji prasowej w Hongkongu, oficjalnie oznajmiono o przyznaniu tych nagród. Nagroda wynosi milion dolarów w każdej dziedzinie. W 2016 roku wynosiła już 1,2 miliona. W dziedzinie matematyki tym razem przyznano nagrodę dwóm osobom, tak że faktycznie dostałem pół miliona.

Kasia była wtedy w szpitalu, po tragicznym wypadku samochodowym. Zaraz do niej pojechałem – jeździłem zresztą codziennie do szpitala. Była w bardzo ciężkim stanie, stąd też miałem mieszane uczucia, czy powinienem jej mówić o nagrodzie. Z powodu jej wypadku przerwałem zresztą kontrakt w

Zurychu w Szwajcarii i przyjechałem do Princeton, aby być przy żonie.

JSz: Nagrodę otrzymał Pan w doborowym towarzystwie pięciorga znakomitych naukowców z kilku krajów. Proszę opowiedzieć, jak wyglądała cała ceremonia: gdzie się odbywała, ilu było tych, którzy was podziwiali?

HI: To jest nagroda przyznawana co roku przez The Show Price Foundation in Hong Kong. Fundację tę założył w roku 2002 Run Run Shaw – magnat filmowy i telewizyjny w Hongkongu. Zmarł dwa lata temu w wieku 107 lat. Nagroda ta określana jest często jako „Nobel Wschodu". Przyznawana jest w trzech dziedzinach: w astronomii, nauce o życiu i medycynie (Life Science and Medicine) oraz w matematyce (Mathematical Sciences). Po raz pierwszy nagrody te zostały wręczone w roku 2004. W roku 2015 nagrodę w dziedzinie astronomii otrzymał amerykański naukowiec, mający polskie korzenie, William J. Borucki – jest on odpowiedzialny w Ames Research Center w NASA za Kepler Mission, czyli za badanie planet. W medycynie nagrodę otrzymały dwie osoby – za bakterie, które się komunikują: Bonnie L. Bassler – profesor w Department of Molecular Biology Princeton University i E. Peter Greenberg – profesor mikrobiologii The University of Washington w Seattle. W matematyce też było dwóch nagrodzonych: Gerd Faltings z Max Planck Institute for Mathematics w Bonn w Niemczech i ja.

Nasz pobyt w Hongkongu trwał cztery dni. Wręczenie nagród, czyli The Shaw Prize Award Presentation Ceremony 2015 (www.shawprize.org), odbyło się wieczorem, 24 września w Hong Kong Convention and Exhibition Centre. Dyplomy i medale wręczał mistrz ceremonii CY Leung – przewodniczący Chief Executive of the Hong Kong Special Administrative Region, czyli gubernator Hongkongu.

Po ceremonii wręczenia nagród, przy pięknych, fantastycznie udekorowanych okrągłych stołach, zasiedliśmy do kolacji. Wszyscy laureaci siedzieli przy jednym stole. Obok nas zasiadł gubernator Hongkongu. Miałem okazję kilka minut z nim porozmawiać. Opowiedział mi co nieco o historii tego fantastycznego miasta.

Na życzenie organizatorów musieliśmy przygotować dla nich wiele informacji. Jako laureat musiałem napisać autobiografię, potem drugą, pełniejszą, ze szczegółami; musiałem także przygotować „acceptance speech". Taką mowę dziękczynną za nagrodę wygłaszał każdy nagrodzony, zaraz po otrzymaniu medalu i dyplomu, i nie mogła ona trwać dłużej niż 3 minuty. Wszystkie te informacje trzeba było posłać organizatorom dużo wcześniej.

Dzień przed ceremonią odbyła się konferencja prasowa z udziałem wszystkich laureatów. Następnego dnia, po ceremonii

wręczenia nagród, wygłosiłem wykład na Uniwersytecie w Hongkongu – każdy z laureatów miał taki obowiązek. Dzień później wygłosiłem wykład w Museum of Art and Sciences w Hongkongu, połączony z dyskusją. Było to tak zwane public forum. Musiałem opowiedzieć o sobie, a potem odpowiadałem na pytania z sali. To też należało do obowiązków laureata.

To wszystko było fantastycznie przygotowane. Byliśmy traktowani jak… prawdziwi laureaci! Podczas samej ceremonii wiedzieliśmy dokładnie, kto i kiedy ma wyjść, jak przejść po czerwonym dywanie, w którym miejscu stanąć, bo wcześniej mieliśmy próbę… Towarzyszyła nam piękna muzyka, a sala była pięknie udekorowana. Podczas oficjalnej ceremonii członkowie komisji przyznającej nagrody przedstawili laureatów. Wszystko odbywało się w świetle lamp, przed zaproszonymi gośćmi. Trudno było się nie wzruszyć.

JSz: Czy towarzyszył Panu ktoś z rodziny? Czy mieliście czas na to, aby obejrzeć Hongkong i zobaczyć coś więcej, przynajmniej kawałeczek Chin?

HI: Żona Kasia nie mogła ze mną pojechać ze względu na jej stan zdrowia, więc towarzyszyła mi młodsza córka Ania. Trochę mało czasu było na zwiedzanie samego Hongkongu, ale co nieco zobaczyliśmy. Mieszkaliśmy w luksusowym hotelu. Każdy z laureatów miał do dyspozycji samochód z kierowcą, tak że nie

martwiliśmy się o to, jak i kiedy dojechać na miejsce spotkania. Było to niesamowite przeżycie, coś takiego zdarza się raz w życiu…

JSz: Czy były reakcje polskich placówek naukowych i polskich naukowców na Pańską nagrodę?

HI: Nieliczne na początku. Muszę powiedzieć nieskromnie, że trochę mnie to zdziwiło. Otrzymałem życzenia z Instytutu Matematycznego w Warszawie. Złożył mi też życzenia mój promotor pracy doktorskiej, profesor Andrzej Schinzel. To wszystko.

Natomiast bardzo przeżywał to całe wydarzenie mój brat Tadeusz i oczywiście serdecznie mi gratulował. Jest bardzo dumny ze mnie. Tadeusz jest obecnie profesorem matematyki na Syracuse University w stanie Nowy Jork. Otrzymał wiele nagród i ma wysokie notowania. Zajmuje się zupełnie czymś innym niż ja, między innymi równaniami różniczkowymi cząstkowymi, a także geometryczną teorią funkcji. Kiedyś spotykaliśmy się bardzo często, teraz, niestety, bardzo rzadko, bo daleko od siebie mieszkamy. Ode mnie trzeba jechać samochodem do Syracuse około 6 godzin. Za to czasami do siebie dzwonimy.

JSz: Co ciekawe, pierwszy z gratulacjami dla Pana pospieszył prezydent Elbląga, wyprzedził wszystkich innych. Dlaczego

akurat on, czyżby miał w tym jakiś interes i jakieś służby, które informują go o Pana poczynaniach?

HI: To na pewno wyszło z jego serca. Kiedy opuściłem Elbląg, bo podjąłem studia w Warszawie, a potem wyjechałem do USA, rzadko bywałem w tym mieście. Dopiero od mniej więcej 10 lat te kontakty znowu się ożywiły. W roku 2006 Rada Miasta przyznała mi honorowe obywatelstwo miasta Elbląga. Nie dziwię się więc, że prezydent miasta zachwycił się tą nagrodą dla mnie. Pierwsze artykuły o mojej nagrodzie ukazały się w prasie elbląskiej. Mogę więc powiedzieć, że Elbląg się wykazał. Warszawa później.

JSz: Problemów matematycznych rozwiązał Pan – i wciąż Pan rozwiązuje – co niemiara. I co chwila dostaje Pan jakąś nagrodę. Proszę wymienić przynajmniej kilka tych, które są dla Pana najważniejsze i najcenniejsze?

HI: The Shaw Prize Award jest dla mnie niewątpliwie nagrodą najważniejszą, bo jest bardzo prestiżowa i niewiele osób ją otrzymuje. Mamy tysiące bardzo dobrych matematyków na świecie, a tylko dwóch otrzymało tę nagrodę w 2015 roku, więc mam się z czego cieszyć.

Wśród cennych nagród, jakie otrzymałem, niewątpliwie są: Medal Sierpińskiego przyznany mi w 1996 roku przez Polskie

Towarzystwo Matematyczne, The Jurzykowski Prize – nagroda przyznana mi w 1991 roku przez Alfred Jurzykowski Foundation w Nowym Jorku oraz Medal Stefana Banacha, który otrzymałem w maju 2015 roku od Polskiej Akademii Nauk, a więc przed nagrodą Shawa.

Bardzo sobie cenię nagrodę „Leroy P. Steele Prize", którą otrzymałem w 2011 roku od American Mathematical Society za książki – monografie dla studiujących na poziomie badań naukowych, co jest wyrazem uznania nie tylko za moją pracę naukową, ale również za pracę edukacyjną. A pedagogów, którzy są bardzo dobrzy i zasługują na wyróżnienia, jest bardzo dużo. Jestem dumny z tej nagrody, bo mogę się nią pochwalić wśród studentów, że potrafię też zrozumiale redagować materiał naukowy.

W USA jestem członkiem American Academy of Arts and Sciences. A kiedy zostałem członkiem National Academy of Sciences władze Rutgers University tak były z tego faktu dumne – bo to jest prestiż i ogromne wyróżnienie – że billboard z moim nazwiskiem i zdjęciem pojawił się na stacji kolejowej w New Brunswick. Pojawiły się też artykuły o mnie w gazetach amerykańskich. No i jestem członkiem Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Wielkim wyróżnieniem jest dla mnie zawsze zaproszenie na Międzynarodowy Kongres Matematyków, który odbywa się co cztery lata. Byłem zaproszony trzy razy: do

Helsinek, Madrytu i Berkeley w Kalifornii w USA.

JSz: Rozwiązanie jednego problemu matematycznego powoduje… powstanie następnego. Oznacza to, że nigdy nie osiągniemy końca, nie znajdziemy ostatecznej odpowiedzi, czyli jest Pan skazany na pracę, matematyczne myślenie, do końca życia. Taka perspektywa jest dla Pana przyjemna, pobudzająca, czy wręcz przeciwnie – przerażająca?

HI: To prawda. Ale ja się tym nie przejmuję, że jest tyle pracy, bo nawet gdy przejdę na emeryturę, to nie rozstanę się z matematyką.

JSz: Kiedy wybiera się Pan na emeryturę? Czy w ogóle jest możliwe dla matematyka słodkie lenistwo i w konsekwencji skończenie z myśleniem?

HI: Przejście na emeryturę jest sprawą techniczną, a przywiązanie do matematyki zostaje, trudno się z nią rozstać. Czasami jedynie marzy mi się przejście na emeryturę z powodu wygody. Odpadają bowiem liczne obowiązki na uniwersytecie, między innymi opieka i troska o warunki pracy dla studentów i prace w komisjach, a wówczas więcej czasu można poświęcić na poszukiwania i badania. Na szczęście na moim uniwersytecie nie ma obowiązku przechodzenia na emeryturę, co mnie bardzo cieszy. Jeśli nie byłbym zdolny fizycznie czy nawet umysłowo do

dalszej pracy, to wówczas nie miałbym wyboru – musiałbym zostać emerytem. Mam nadzieję, że do takiej sytuacji jednak nie dojdzie.

Princeton Junction, NJ, 31 października 2015 – 9 stycznia 2016 r.

Wywiad pochodzi z książki Janusza M. Szlechty „Widziane stamtąd. Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie”, wyd. Instytut Wydawniczy Kreator, 2017 r.



Małe marzenia

polskich artystycznych emigrantów



Felieton z Perth (Australia)

Adam Fiala

Artyści, poeci, muzycy polskiego pochodzenia na emigracji są w sytuacji Sienkiewiczowskiego Latarnika. No, z pewnymi różnicami. Latarnik miał latarnię i „Pana Tadeusza”, emigranci mają Internet, który ponoć zbliża, ale tylko wirtualnie. Ciągle więc siedzą w wieży, tylko bez latarni. Oczywiście już teraz się nie używa modnego za Sienkiewicza słowa „obczyzna”, bo żyjemy w zglobalizowanym, a przede wszystkim etnicznym świecie. No właśnie. Etnicznym. Etnizm podobnie jak każda dziedzina ulega modzie, są lepsi etnicy i gorsi, mniej lub bardziej cenieni.

Owszem Polacy mieli swoją kartę i uznanie za czasów Wałęsy i bliskiej Solidarności. Ale i z Wałęsą obecnie coś nie tak. Nie tylko posiwiał, ale też posiwiały jego szczytne idee zwłaszcza osobiste. Wałęsa był atutem, a stał się poniekąd problemem. Niektórzy twierdzą, że brak mu odwagi, którą się tak dawniej szczycił. Ale nie tylko Wałęsa. Polski rząd też nie jest popularny. Rzutuje to oczywiście na ogólną sytuację Polaków, a zwłaszcza pisarzy i artystów za granicą. Na pewno nie należymy teraz do ulubionej grupy etnicznej w Australii.

Ulubionymi są oczywiscie tak zwani Pierwsi Ludzie tego kontynentu czyli Aborygeni stanowiący trzy procent społeczeństwa australijskiego. Dalej widzę mieszkańców Afryki, pozytywnych Syryjczyków, którym ich Wiosna Ludów się kompletnie nie udała, zaś Polacy są obecnie jakby na samym

końcu tabelki. Stąd prośba. Polska mogłaby zwrócić trochę uwagi na ludzi twórczych, którzy paradoksalnie mieli swoją pozycję za czasów komuny. Wtedy ciągle słyszałem, że Polska liczy się kulturalnie w Europie, jeżeli nie na świecie. I nie tylko Warszawska Jesień o tym decydowała z dumą i chlubą narodu Krzysztofem Pendereckim (nawiasem mówiąc jestem słuchaczem stałym radiostacji muzyki klasycznej w Australii i słyszałem Pendereckiego tylko raz, ale owszem Chopen się bardzo sprawdza).

O czym marzą artystyczni Polacy w Australii. O pieniądzach? Nie, ponieważ życie materialne w tym kraju jest zupełnie znośne. Marzą o wizycie polskiego obrotnego dziennikarza, najlepiej obrotnej dziennikarki, która opublikowałaby o nich materiał w jednym z kolorowych pism. W kraju jest ich ponoć zatrzęsienie, a publikowane teksty nie dotyczą realnych problemów, tylko wydumanych.

Cztery portrety

Wilek Markiewicz

Przeglądając ostatnio moje stare prace przywiezione z Europy, powróciły mi wspomnienia związane z niektórymi portretami. Może będzie kiedyś okazja by je pokazać na retrospektywnej wystawie, w każdym razie historia ich wydaje mi się dość ciekawą, aby jej nie zatrzymywać tylko dla siebie.

Wilek Markiewicz, torontoński artysta, zmarł w listopadzie 2014 r. w Toronto.

Janek (rysunek)



Wilek Markiewicz, Janek

Niestety, nie mogę podać jego nazwiska, choć – jak czytelnicy zmiarkują – ma ono swe znaczenie w historii. Janek urodził się bądź w Westfalii, jak jego rodzice, bądź we Francji. Miał w sobie trochę krwi niemieckiej, nie wiem, czy po mieczu, czy po kądzieli. Po polsku mówił poprawnie, po francusku, jak Francuz. Podczas wojny miał ok. 9 lat. Ojciec oddał go do Hitlerjugend. Poznałem ojca, przemiły pan, co widocznie jedno z drugim nie

ma nic wspólnego. Janek opowiadał mi jak smarkacze w jego wieku zarąbali się na śmierć szablami w pojedynku. Miał twardą szkołę w Hitlerjugend. Nie afiszował się tym zbytnio i prosił mnie o dyskrecję, którą utrzymuję... Był gorącym polskim patriotą i raz, podczas dyskusji z kolegami na temat europejskiego federalizmu, perorował: „Sobieski był federalistą?! Bolesław Chrobry był federalistą?! Federalizmy to żydowskie wymysły!”

Pomimo oznak twardości i zdziczenia Janek był sentymentalny. Ja byłem jednym z niewielu, który zdawał sobie z tego sprawę i może dlatego byliśmy przyjaciółmi. Janek kochał dziewczęta z wzajemnością. Opowiadał mi, jak najbardziej sofistykowane kobiety stawały się ladacznicami u niego w łóżku i wierzyłem mu, bo Janek nie miał imaginacji. Związał się z bardzo ładną Francuzką, ona mu pomagała finansowo, gdy coś tam studiował, później pobrali się. Przyszła wojna w Algierii i Janek został zmobilizowany. Opowiadał mi jak rżnęli Arabów i mogę sobie wyobrazić Janka w akcji.

Gdy go spotkałem już po wojnie, całe jego życie zaczęło spadać ostrą krzywą w dół i chyba się już nigdy nie podniosło. Podczas jego pobytu na froncie żona go opuściła. Nie mogę jej potępiać nie znając faktów. Janek mógł być niemożliwym do współżycia. Wróciwszy do domu w poszarganym uniformie znalazł mieszkanie zamknięte na kłódkę i musiał iść spać do hotelu. Zdaje się, że był ranny i schorowany. Z armii pozostały mu

czarne wspomnienia. Ktoś zrobił z niego Żyda, że jego nazwisko brzmi jak Mojżesz! Żałuję, że nie mogę zacytować jego nazwiska, aby się czytelnicy przekonali, jaki to absurd. W każdym razie Janek z Hitlerjugent i z mordą SS-mana zbierał cięgi za żydostwo. Nie pytałem się, kto mu ten kawał wyrządził: Polak, Francuz czy Niemiec – armia francuska jest wielokulturową, jak Toronto. Nie zajmowałem się wtedy tymi sprawami. Ubawiło mnie tylko to, że z nim służył autentyczny Żyd, sąsiad jego rodziców. Obie matki przyjaźniły się i obie płakały nad losem swoich synów.

Straciłem z nim kontakt i gdy go ujrzałem po roku zmiarkowałem, że się chyba nie pozbierał ze swych przeżyć. Chodził po ulicy nocą w towarzystwie obwiesiów, sam jakby pod wpływem narkotyków czy alkoholu. Był w wisielczym humorze. Czułem, że nie mamy ze sobą nic więcej wspólnego, że ani on mnie nie potrzebuje, ani ja dla niego nic nie mogę zrobić – i pozostałem niezauważony.

Esteban czyli Stefan (olej)



Wilek Markiewicz, Esteban

Esteban jest Hiszpanem, z matki Katalonki, ojca Andaluzyjczyka. On sam wychowany w katalońskim miasteczku, przybył z Barcelony do Paryża ze snami glorii dziennikarskiej, jako wysłannik tamtejszego pisma ilustrowanego. Posiadał wielką wrażliwość pisarską, lecz do osiągnięcia sukcesu brakowało mu trzech podstawowych rzeczy: 1) inteligencji, 2) wykształcenia, 3) pieniędzy. W Barcelonie, w swym piśmie posiadał rubrykę a la „Dear Abby”, z której wywiązywał się na pewno nieźle, ponieważ

umiał wniknąć w sytuację z życia i miał religijną moralność do przyjęcia przez ogół. Lecz zachciało mu się szerokich wód i oto znalazł się w Paryżu. Jego rolą miały być wywiady z rozmaitymi „gwiazdami" piosenkarstwa i telewizji. Lecz nie znał jeszcze zbyt dobrze francuskiego. Dał mi do przeczytania swe krótkie historie, z których jedna zrobiła na mnie głębokie wrażenie. Mowa tam o młodym malarzu, który pod wpływem konfliktu opuścił swój dom rodzinny i miasteczko, i wylądował z mizerną sumą pieniędzy w Barcelonie. Na rogu ulicy zobaczył młodą pociągająca prostytutkę i z młodzieńczą beztroską postanowił wydać na nią ostatni grosz. W hoteliku weszli w przyjacielską rozmowę i opowiedział jej swą historię. Ona mu rzekła: „Moja historia jest nieco podobna do twojej, tylko dla mnie jest już za późno. Wracaj do domu, do ojca i matki, nim moloch miasta nie pochłonie i ciebie".

Było to tak ciepło opowiedziane i takim prostym językiem, że wczułem się w sytuację, jakbym był przy tym. Powiedziałem Estebanowi: „Jestem zachwycony, ty jesteś hiszpańskim Balzakiem od prostych spraw. Oto czego nie powinienem mu był powiedzieć. Uraziłem go, że nie potrafi pisać o niezwykłych sprawach i zaczął wypisywać jakieś szmiry o miłości i mordach a la „soap opera" i nie rozumiał dlaczego mi się to nie podoba. Prawdopodobnie posądzał mnie o zazdrość.

Historia Estebana jest niestety również historią upadku, choć

walczył z podziwu godną wytrzymałością. Właściwie młodość pozwoliła mu przetrwać. Srogą zimą paryską, która jest zimniejsza od torontońskiej, tyle że bez śniegu, wychodził późnym wieczorem ode mnie – nie wiedziałem dlaczego, z tak krzywą miną. Otóż spędzał noce pod gołym niebem, w jakimś cieplejszym kanale wydechowym między włóczęgami i degeneratami. Tajemnicę umiał zatrzymać dla siebie. Moja żona mawiała: „Dlaczego Esteban tak śmierdzi – nie zmienia odzieży, czy co?". Raz go spotkała na ulicy w tym stanie i powiedziała mu: „Esteban, albo się pozbierasz, albo wracasz do Hiszpanii". Był u nas parę dni, po czym znalazł pracę i pomieszczenie. Został sprzątaczem w jakiejś publicznej pływalni. Pomimo, że otrzymywał z początku ciepłe listy z redakcji, utracił w końcu kontakt ze swoim pismem. Przechodził przez życie wciąż ze swym chaplinowskim uśmieszkiem, lecz nie był to już ten sam Esteban. Stał się brzydkim cynikiem, przypuszczalnie bez dawnej religijności i moralności, co dla człowieka prostego może być bardzo niebezpieczne. Twierdził, że jest zadowolony i przypuszczalnie był nim. Mawiał: „Gdyby mi zaofiarowano redaktorską pozycję w Buenos Aires, powiedziałbym, by ją sobie zatrzymali dla siebie". Twierdził, że nie chce utracić kontaktu z Europą, lecz czym była dla niego ta Europa? Późną nocą, po pracy zupa cebulowa w paryskich Halach, później – gdy akurat nie miał kochanki – prostytutka. Bez wstrętu i z odrobiną ciekawości, opowiadał mi o rozmaitych propozycjach, które otrzymywał przy pracy w pływalni. „Esteban, na miłość boską,

trzymaj się z daleka” – mówiłem mu. Z zagadkowym uśmieszkiem przyjmował, co by mu nie powiedziano. Ponoć wyjechał do Hiszpanii z uciułaną gotówką i ożenił się. Nie wiem, co się z nim stało, jako że nasza przyjaźń się zerwała, z przyczyn nie należących do tematu.

Carol (pastel olejny)



Wilek Markiewicz, Carol

Poznałem ją w Paryżu, gdzie pracowała jako służąca. Pochodziła z chłopskiej rodziny z okolicy Burgos (płn. Hiszpania). Została wówczas sierotą i ojciec z macochą traktowali ją całkiem nie po ludzku. W wieku lat 5-ciu oddali ja do klasztoru. Tam też nie traktowano ją poprzez jedwabne rękawiczki, po prostu Hiszpania była twardym krajem, gdzie najsilniejsi przeżywali. Już w wieku 5-ciu lat Carol szorowała klasztorne podłogi i prała odzież od samego świtu, do późnej nocy. Stała na krześle z nałożonymi belkami, żeby móc dosięgnąć balii. Matka przełożona zorientowała się co do bystrości Carol i mawiała: „Ty się ucz, a przerośniesz i swą kondycję i innych". Dzięki pomocy przełożonej i własnych, wcześnie rozbudzonych ambicji, Carol nauczyła się wiele, w warunkach, gdy inne pozostały analfabetkami. W czasie wojny domowej, Burgos było miejscem koszarowym dla Niemców i Włochów, którym się podobała ta mała blondyneczka i obdarowywali ją czekoladkami. Jedni z niewielu, którzy okazali jej trochę życzliwości – prócz przełożonej. Pozostawiła po nich wdzięczne wspomnienie – plus faszyzm. To ostatnie jej później przeszło, ale o tym zaraz. Nie wyrosła i prawdopodobnie skutkiem zaburzeń hormonalnych, wywołanych trudem i niedożywieniem, twarz jej została wydłużoną. Słowem była bardzo brzydka, mimo żywych jasnych oczu i blond włosów. Pracę mogła otrzymać tylko jako służąca i chłopcy parskali na nią. Jako dobra Hiszpanka i w instynkcie samoobrony zrobiła się kąśliwa jak osa i agresywna jak pantera. Ponieważ klasztor był jej jedynym domem, a przełożona jedyną matką, nie opuszczała

niedzielnej mszy, lecz nie była bigotką. Jej podejście do życia było po hiszpańsku pragmatyczne. Na pewno miała kochanków, choć nie interesowałem się jej prywatnym życiem. Jednego poznałem, był to Chorwat, który przypuszczalnie by się z nią ożenił, lecz jej brzydota przezwyciężyła jej wszystkie niepospolite zalety. Rozstali się jak pies i kot. Carol była maleńka, ale nie obawiała się ni diabła. Cokolwiek zaszło, on utracił parę piór.

Opuściła Paryż z pieniędzmi, które jej pozostały i osiedliła się w Madrycie. I teraz zaczyna się dla nas najciekawszy rozdział jej życia. W wieku ponad 50-ciu lat Carol ukończyła doktorat z literatury francuskiej na uniwersytecie w Madrycie. Wiedziałem, że uczęszczała od czasu do czasu na Sorbonę, lecz nie sądziłem, że jest w tym coś poważnego. W tym też okresie utraciła swój faszyzm.

Z Carol nie mam kontaktu z własnej winy. Carol była przyjaciółką mojej żony i mnie oddaną jak siostra, choć ja z niecierpliwością znosiłem ten „babiniec". Lecz na pewno pamięta mnie, jak ja ją. Carol żyje z kimś obecnie, prawdopodobnie odseparowanym (nie wiem, czy już istnieją rozwody w Hiszpanii). On ją nosi na rękach. Człowiek prosty umie, jak wszyscy Hiszpanie ocenić czyjąś wyższość.

Włodek (rysunek)



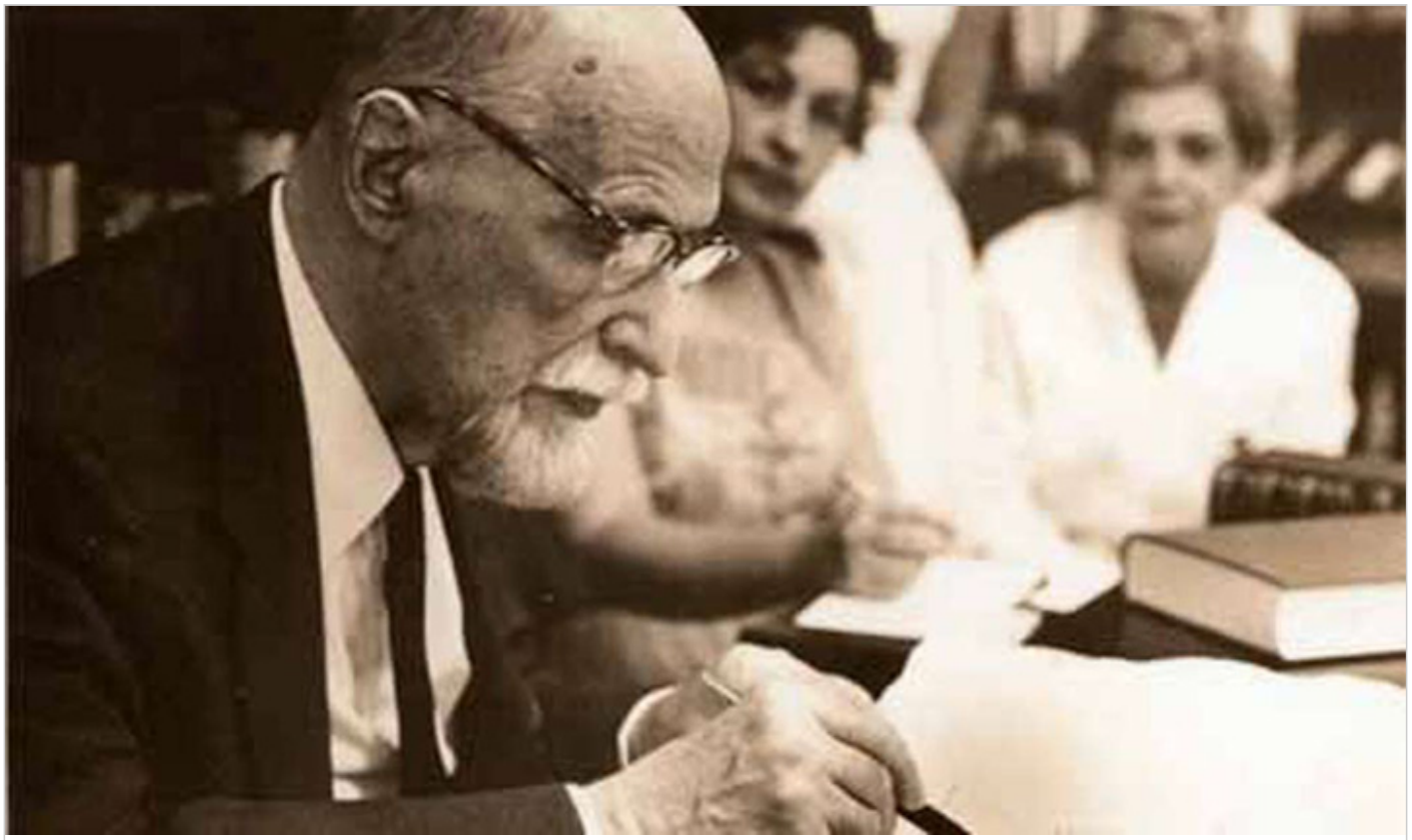
Wilek Markiewicz, Włodek

Włodek urodził się przed wojną w polskim więzieniu. Matka – Żydówka, była aktywną komunistką i nazwała syna od Lenina. Ojciec, prawdopodobnie również Żyd, zginął podczas jakiejś akcji bojowej przed, czy podczas wojny. Rosjanie, gdy weszli do Polski

wywieźli ją z dzieckiem do Azji Centralnej i tam przestała być komunistką. Z zawodu była pielęgniarką i gdy protestowała, że Uzbeków i Kozaków się szczepi tą samą igłą, otrzymała odpowiedź: „Eto zwieria (to są zwierzęta), nic im się nie stanie". Napisała protest do Moskwy i zawezwano ją: „twym protestem wymyliśmy okna, zamknij gębę, albo pójdziesz skąd się nie wraca".

Zamieszkali w Paryżu, matka zagorzała antykomunistka, zaś syn – trockista. Przychodził pokrwawiony z ulicznych bijatyk. Posiadał wybitny talent malarski, lecz między ideologią i matką, która chciała natychmiast skapitalizować jego prace, nic z tego nie wyszło. Nawet grupa francuskich arystokratów zainteresowała się jego talentem i finansowała go przez jakiś czas. Lecz nie mieli pojęcia o sztuce i wszystko rozbiło się – o politykę. Włodek wegetował, wysoki i chudy wyglądał na Don Kichota. Bez kondycji fizycznej, ani silnego charakteru, nie wiem, co się z nim stało. Bez konkretnego powodu, nie mam dobrego przeczucia.

Śladami Srebronia: Juan Ramón Jimenez (1881-1958).



Juan Ramón Jimenez (1881-1958)

Florian Śmieja

Nazwisko Juana Ramóna Jimeneza usłyszałem po raz pierwszy na lekcjach literatury hiszpańskiej w irlandzkim mieście Cork, gdzie rozpoczynałem studia humanistyczne po demoblilizacji najpierw z I Korpusu, a później z Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia w 1947 roku. Uniwersytet oferował, egzotyczny wtedy dla mnie język hiszpański. Język piękny i łudząco prosty tak jak jego literatura, jak poetyckie opowiastki o srebrnej maści osiołku, towarzyszu chorowitego poety. A skoro był srebrzysty, to po hiszpańsku Platero. Srebroń, jak go po polsku przezwał pamiętający Leśmiana Józef Łobodowski. Trudno było o bardziej stosowny polski odpowiednik. Srebroń.

Jego twórca urodził się w bielutkim, słonecznym andaluzyjskim miasteczku Moguer wśród pól, winnic i lasów. Opodal leży miejscowość Palos, gdzie na polecenie królowej Izabelli zbudowano karawele, które pod wodzą Kolumba wypłynęły w poszukiwanie drogi do Indii. Pochodzący z Moguer jego zastępca i odkrywca ujścia Amazonki, Vicente Pinzón, w lokalnym, stojącym do dziś klasztorze, dziękował potem za pomyślny wynik wyprawy.



Srebrny osiołek na drodze w Andaluzji.

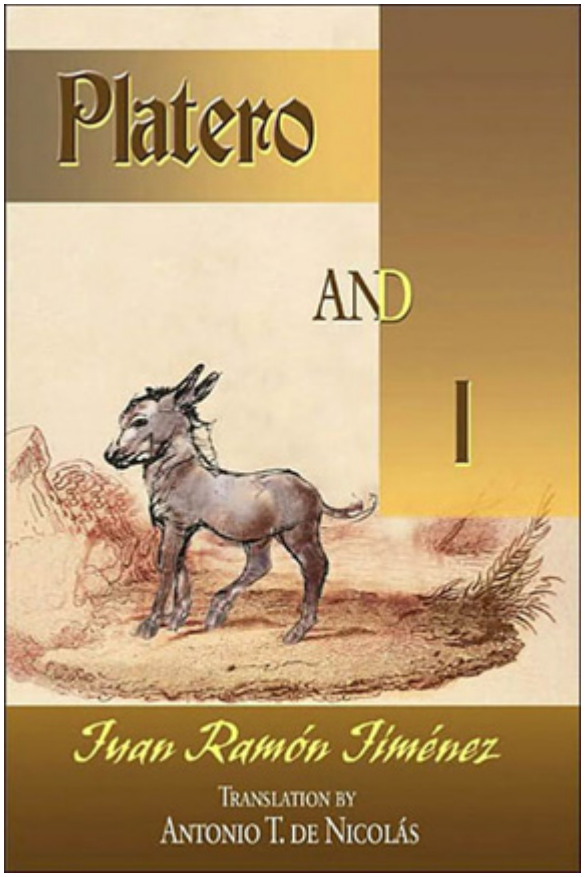
Do tej starożytnej miejscowości zwanej przez Arabów Almoguer pojechalem z Sewilli autobusem, wysiadłem w pobliskim San Juan, a na końcowy odcinek wprosiłem się na dwukołowy ciągniony przez muła wóz. Rytmiczne podskakiwanie pojazdu dawało dużo czasu, by dotrzeć do pojawiającego się na widnokręgu białego miasteczka godnie i w należnym skupieniu.

Były dom poety stał się jego muzeum. Wmurowana tablica głosi jego historię: „W tym domu – dziś muzeum – Juan Ramón

Jiménez przemarzył wszystkie sny dzieciństwa i młodości. Tu jego pamięć znalazła przychylne schronienie”.

Ten dawny dom poety to nie tylko muzeum, ale również biblioteka publiczna. Kto będzie jednak czytał w skwarne lata, a w takich porach spędziłem w Moguer moje trzy wizyty. Byłem więc zazwyczaj jedynym gościem i zaprzyjaźniłem się z dyrektorem, kuzynem pisarza. To dzięki jego uprzejmości pojechałem do lasu, by zobaczyć jeszcze szczątki wielkiej sosny uwiecznionej w poetyckiej prozie „Srebroń i ja”. Słynna sosna, „el pino de la corona”, sosna olbrzym, jak ją po polsku nazwałem, była widoczna z daleka, rzucała się w oczy swoim ogromem, była dostrzegalna z morza, królowała nad innymi drzewami. Ten symbol trwania, niestety, trafiony przez piorun leżał zwalony na ziemi, osmalony i połamany. Oglądałem jego mizerię jak drogą relikwię.

Pojechaliśmy również do letniej posiadłości Fuentepiñas jaśniejącej na horyzoncie. Obok bielonego budynku stała kopulasta sosna. To pod nią pogrzebano osiołka, którego poeta rozsławił w całym świecie. Nazwę słynnego miejsca nosił jeden z hoteli, w którym się zatrzymałem. Posiadam jeszcze rachunek, z którego wynika, że mój pokój kosztował mnie w połowie maja 1975 roku dwieście peset, a obiad 288.



Korzystając z okazji chciałem jak najwięcej trudności tekstu, który tłumaczyłem na język polski, rozwiązać na miejscu sądząc, że lokalni ludzie są najbardziej kompetentni, by je wyjaśnić. Nie zawsze odnosiłem sukces. Powiodło mi się z piekarzem. Jiménez napisał, że Moguer jest jak chleb. W piekarni trafiłem na osobę starszą, dumną ze swego rzemiosła i pochlebiało jej, że właśnie o zwyczaje wypieku i recepturę pytałem, a on wiedział i chętnie objaśniał. Bo współcześni już nie pamiętali tych wszystkich fachowych słów, które ja, cudzoziemiec, znałem. Kazał mi przyjść następnego dnia i zadał sobie trud, by ze specjalnie dla mnie zrobionego ciasta ulepić bochenki, już nie w modzie.

Mniej szczęścia miałem z nazwami ptaszków, które tropiłem poprzez ornitologiczne łacińskie terminy. Kiedy nie robiłem żadnych postępów, uśmiechnęło się do mnie szczęście, a przynajmniej tak sobie to tłumaczyłem. Otóż pod drzewami przy cmentarzu znalazłem martwego ptaszka, o którego mi chodziło. Zawinąwszy go w chusteczkę chodziłem po okolicznych domach i pytałem o nazwę. Zapytani jednogłośnie odpowiadali, że to ptak. Ale jaki ptak, pytałem niespeszony. „Pájaro pequeño”, mały ptaszek, odpowiadali niewinie. Musiałem zrezygnować i uznać, że nieznajomość przyrody stała się nagminna, że trzeba było poszukać miłośnika i specjalistę, a dać spokój ludziom lokalnym.

Raz znalazlem się w Moguer w wigilię wyjazdu przystrojonych wozów w pielgrzymkę do niedalekiej miejscowości El Rocío, tak pięknie przez Jiméneza opisanych. Nie zaprzęgano już wołów, ich rolę przejęły muły, a strojne amazonki paradowały ożywionymi uliczkami na ślicznych koniach wśród palby broni i wystrzałów rac.



Juan Ramón Jimenez (1881-1958)

Odwiedziłem również słynną pustelnię, a z całą rodziną udałem się na grób poety i jego żony. Najmłodszy syn, Julek, złożył na

płycie wspólnego grobu polne kwiaty. Zmarły w Puerto Rico najsłynniejszy syn Moguer wyróżniony w 1956 roku literacką nagrodą Nobla, spoczął w końcu w swojej ziemi.

Kiedy pojechalem do miasteczka po raz trzeci, zobaczyłem zmiany, które wprowadziła nowa administracja z własnym jej pojęciem troski o kulturalne dziedzictwo. Zmieniono nazwy ulic. Dawna ulica „Nueva" przy której stoi dom Jiméneza przemianowano na ulicę Juana Ramona Jiméneza. Na to zgoda. Lecz po co z nastaniem nowych urzędników pozmieniano nazwy ulic utrwalonych na kartach „Srebronia i ja"? Ta zmiana spowodowała potrzebę umieszczenia dawnych nazw na drugim miejscu. Akcja ta ilustruje nieznośną potrzebę powierzchownych zmian przez nowych ludzi, których nie stać na czyny zasadnicze i gruntowne. Tak więc barwne kafelki z cytatami ze „Srebronia" wmurowane w różnych miejscach miasteczka są jakby na przekór temu najdoskonalszemu ze światow, przypominając rojenia poety, który widział raj tam, gdzie inni widzą codzienność, i cichego osiołka w miejscu, gdzie dziś pędzą rozjuszone samochody. Dawną idyllę zastąpił harmider i obojętność. Zeszpecono placyk Rady Miejskiej, kóry zachował piękno XVIII wieku w postaci historycznego budynku magistratu z zegarem o pięciołukowych galeriach na piętrze i parterze osłoniętych kratami z kutego żelaza. Trzy palmy, tuje i róże nie bardzo pasują do nowego pomnika Jiméneza wbudowanego w to historyczne, sielskie tło. Laureat Nobla siedzi sztywno za

czterema anemicznymi fontannami na tle dwu paneli płaskorzeźby. Po jednej stronie trzy alegoryczne postacie kobiet z osiołkiem, harfą i wawrzynem równoważą alegorię miłości z drugiej. Nad tą pomieszaną scenerią uganiały się jak dawniej chmary hałaśliwych jaskółek, jaśniała biel ścian, wieże wynosiły się nad dachy. Na jednej z nich bocianie gniazdo.

Historyczne tabliczki, że ”tu mieszkała Aguedilla”, „tu był placyk” wyglądały jak nagrobki, poetyckie „mane, tekel, fares” wskazujące marność tego świata i nieuniknione przemijanie rzeczy. Biedny poeta znalazł się najwyraźniej w bardzo wątpliwej gestii administratorów, urzędników od kultury, został uspołeczniony, zinstytucjonalizowany

Wracałem z trzeciej wyprawy do Moguer zawiedziony i rad, że autobus bardzo szybko wywiózł mnie w pola i sady. Z głośnika autobusu zabrzmiały rzewne skargi pątnika wracającego z pobliskiego El Rocío i zagłuszyły tłoczące się w moich myślach pytania. Głos śpiewaka zawodził: „Ślub mój wypełniłem”… A potem ciągnął dalej współbrzmiąc mojej rozterce: *„Ay, que me importa la muerte*… Co mi tam śmierć, skoro już nie mam nadziei. Całą noc opowiadałem o twojej zdradzie…”.

Ja również wracałem z pielgrzymki gnany starą miłością i jak każdy kochający, jechałem przygnębiony, niespełniony, nieuciszony, pełem smutku, którego nawet najsprawniejsze pióro

nie jest w stanie wysłowić…

Zdążyłam na swój pociąg

Rozmowa z Anną Gordijewską – dziennikarką „Kuriera Galicyjskiego” we Lwowie, aktorką i przewodnikiem po mieście.



Anna Gordijewska, fot. Janusz Szlechta

Janusz M. Szlechta: Cały świat śledzi z niepokojem to, co dzieje się na wschodzie Ukrainy. Rosja zabrała Ukrainie Krym, trwają walki w Donbasie. Czy czujecie tę wojnę we Lwowie? Czy nie boicie się, co dalej będzie, jak to się zakończy?

Anna Gordijewska: Kiedy „wybuchnął" Majdan – była euforia. Wyszli tam protestować głównie młodzi ludzie, była nadzieja, że coś się zmieni, że w kraju będzie lepiej. Ale kiedy przerodziło się to w walki, kiedy rozpoczął się konflikt zbrojny z Rosją i w grę weszły duże pieniądze – bo rozpoczęła się również wojna

oligarchów – ludzie zaczęli się bać.

W Donbasie codziennie giną ludzie, więc codziennie towarzyszy nam lęk o to, jak się ta wojna skończy… Tego nikt nie wie. My w telewizji widzimy to samo, co oglądają ludzie w Polsce i w Stanach Zjednoczonych. Jeśli nie ma potrzeby, nikt nie jedzie tam, gdzie trwają walki. Ja tam nie byłam…

We Lwowie bezpośrednio wojny nie widać. Ale to jest przecież jeden kraj, więc odczuwamy wojnę przede wszystkim emocjonalnie i ekonomicznie. Zarabiamy mniej, wzrosło bezrobocie. W rodzinach, w których są synowie, panuje strach przed tym, co będzie, bo jest ogłoszona mobilizacja. Chłopcy są brani do armii. Część młodych mężczyzn wyjechała za granicę, także do Polski; niektórzy nie odbierają „powistek", czyli powołań do wojska. Wielu młodych chłopaków mówi: *My jesteśmy patriotami, gotowi jesteśmy pójść walczyć, ale chcemy wiedzieć, dla kogo mamy walczyć!* Panuje bowiem wielki chaos w ludzkich głowach i sercach. Wojna ta często odbierana jest jako wojna oligarchów. Rosja nie przyznawała się, że wysłała na Krym wojska specjalne, aby go zdobyć. My wiemy tylko tyle, że pojawiają się nagle „zielone ludziki", a w sklepach można kupić wojskowe mundury.

Dla nas jest jasne jedno: Krym został zabrany Ukrainie! Nie ma bezpośredniego połączenia z Rosją, więc Rosja będzie walczyć,

dopóki nie zdobędzie korytarza we wschodniej Ukrainie. We Lwowie obserwujemy natomiast, że jest coraz więcej osób rosyjskojęzycznych. Są to na ogół uciekinierzy ze wschodniej Ukrainy. Do czasów wojny we Lwowie dominował język ukraiński. Oczywiście było sporo turystów, w tym Polaków, więc nasz język też był często słyszany. Kiedy prezydentem był Wiktor Juszczenko, zaczęła się walka z językiem rosyjskim i w pewnym momencie jakby zniknął z oficjalnego obiegu.

JSz: A czy ludzie ze Lwowa uciekają, próbują znaleźć sobie bezpieczniejsze miejsce do życia – myślę tu głównie o naszych rodakach?

AG: Oczywiście, że uciekają, zresztą nie tylko nasi. Polacy z Polski zawsze mieli większe możliwości wyjazdu za chlebem, czy z innych powodów, aniżeli Polacy ze Lwowa. Po II wojnie światowej wielu Polaków zostało zmuszonych do opuszczenia Lwowa, nie mieli wyboru. W późniejszych latach ci, którzy tutaj zostali, uświadamiali sobie, że jednak żyją w obcym kraju. Stąd też pojedynczo, lub całymi rodzinami – jeśli tylko było to możliwe – wyjeżdżali do Polski i próbowali ułożyć sobie tam życie. Dużo osób opuściło Lwów po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce. Podobnie jest dzisiaj.

Aby zostać we Lwowie, trzeba być człowiekiem z charyzmą. Jeżeli ktoś żyje nie tylko dla siebie, widzi potrzebę udzielania się

i pracy dla innych, zawsze znajdzie swoje miejsce. Ale też sporo jest takich rodaków, którzy nigdzie nie wyjechali, bo nie mieli dokąd, do kogo, nie mieli pomysłu na wyjazd albo odwagi.

JSz: A Ty… nie próbowałaś wyjechać do Polski? Na pewno znalazłabyś tam swoje miejsce, masz przecież wielu przyjaciół, jesteś osobą znaną w kręgach dziennikarskich…

AG: Nie ukrywam, że miałam dylemat, co robić? Szybko jednak uświadomiłam sobie, że jednak nie, nigdzie nie jadę… Urodziłam się przecież we Lwowie – to jest moja mała ojczyzna. Uczyłam się w polskiej szkole imienia św. Marii Magdaleny, która w 2016 roku będzie obchodzić piękny jubileusz 200-lecia działalności. Niewielu Polaków na świecie może się dzisiaj pochwalić, że uczyli się w szkole z tak bogatymi tradycjami. W tej szkole uczyło się wielu znakomitych Polaków.

W czasach Związku Radzieckiego we Lwowie były dwie polskie szkoły: szkoła imienia Marii Magdaleny i imienia Marii Konopnickiej – założona już po II wojnie. Sowieci uznali, że Polakom wystarczy jedna szkoła i chcieli jedną z nich zamknąć – wybór padł na tę, w której ja się uczyłam. Dzisiaj gorąco dziękujemy naszym rodzicom za to, że mieli odwagę jej bronić. Specjalna delegacja, złożona z matek, pojechała do Moskwy prosić, aby nie zamykano szkoły, bo jest bardzo potrzebna. W tej delegacji była również moja mama Maria (z domu Wołoszyńska).

Mama była zawsze kobietą zdecydowaną i śmiałą w swoich wypowiedziach, decyzjach i poczynaniach. Władze sowieckie powiedziały wtedy tak: my wam zostawimy tę szkołę, ale pod warunkiem, że stworzycie w niej muzeum jakiegoś polskiego bohatera. Wówczas rodzice zaproponowali, aby utworzyć muzeum Feliksa Dzierżyńskiego.

Teraz może się to wydawać śmieszne, a nawet niesamowite, ale należy pamiętać, jakie to były czasy. Brzmi to jak paradoks, ale właśnie Feliks Dzierżyński uratował szkołę przed zamknięciem. Co jakiś czas przychodziła komisja i pytała kierownictwo szkoły: jest muzeum? No jest – mówiła dyrektorka. A kto jest bohaterem tego muzeum? – pytała dalej komisja. No, Feliks Dzierżyński – padała odpowiedź. Członkowie komisji z uznaniem kiwali głowami i odchodzili. Ja, jako uczennica, nigdy w tym muzeum nie byłam. Zresztą moi koledzy i koleżanki również. Ale dzięki temu muzeum szkoła przetrwała…

JSz: No, a wcześniej nie próbowałaś wyrwać się ze Lwowa w świat, zmienić coś w swoim życiu?

AG: Moja młodość, ta piękna i szalona nieco, przypadała na lata, kiedy w Polsce był okres strajków, potem stan wojenny, potem czas lizania ran po stanie wojennym… Uczyłam się we Lwowie, bo nie miałam żadnego wyboru, żadnej możliwości wyjazdu dokądkolwiek. My, Polacy, mieliśmy określony status. Nie

odczuwałam, aby mnie ktoś śledził czy prześladował, ale niemal na każdym kroku odczuwaliśmy to, że jesteśmy inni. Na studia dostawali się najzdolniejsi oraz dzieci kołchoźników, wojskowych, członków komunistycznej partii… Polacy byli gdzieś tam daleko w kolejce, a więc szanse na podjęcie studiów były niewielkie.

JSz: A czy mogliście normalnie, na co dzień mówić po polsku? Nie ponosiliście konsekwencji z tego powodu, że mówiliście w tym języku?

AG: Język polski w tym mieście był popularny i potrzebny, bo było to miasto na pograniczu. Używali go nawet Ukraińcy na różnych szczeblach, którzy uczyli się go w przedwojennych gimnazjach. Nie było wówczas filologii polskiej na Uniwersytecie Lwowskim, tylko katedra filologii słowiańskiej. Nasza młodzież miała wówczas szanse wyjazdu na studia polonistyczne jedynie do Wilna. Gdybym wtedy wyjechała do Polski, na pewno moje życie ułożyłoby się inaczej. Tuż przed stanem wojennym wyjechała do Polski moja mama, nieco później moja starsza siostra Jolanta.

JSz: Czy dziennikarstwo to był Twój świadomy wybór i chciałaś się poświęcić tej profesji? Myślałaś już wówczas o pracy w mediach polskich czy rosyjskojęzycznych?

AG: Tak, to była moja przemyślana decyzja. Nie mam problemu z pisaniem w języku ukraińskim czy rosyjskim, ale myślałam o pracy przede wszystkim w mediach polskich. Skończyłam studia dziennikarskie w Akademii Poligraficznej we Lwowie, ze specjalizacją „redaktor naukowo-technicznej literatury i informacji". Kiedy zdobyłam dyplom, dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Mogłam pisać pracę doktorską, bo zostałam wytypowana przez mojego promotora, ale wybrałam doktorat z… macierzyństwa. Urodziłam córeczkę Kasię, a trzy lata później Elizę.

W tym czasie mój mąż, który był wykładowcą w Akademii Poligraficznej, bardzo intensywnie pracował, gdyż chciał obronić doktorat. Ja poświęciłam się więc wychowywaniu dzieci i domowi. I byłam bardzo szczęśliwa.

Kiedy dziewczynki już troszkę podrosły, zaczęłam szukać pracy, ale chciałam, aby była to praca związana ze środowiskiem polskim. Byłam przez wiele lat odseparowana od tego środowiska, obracałam się wśród lwowiaków różnych narodowości, czułam więc potrzebę powrotu do środowiska polskiego. Moje córki poszły oczywiście do polskiej szkoły im. Marii Magdaleny. Szybko zostały harcerkami, więc wówczas zaczęłam udzielać się w harcerstwie.

Pewnego razu dyrektorka szkoły Marta Markunina zapytała

mnie, czy nie chciałabym studiować w Polsce. Warunek był taki, że jak skończę studia i wrócę do Lwowa, to będę pracować w Polskim Radiu Lwów.

Ojciec powiedział wówczas: *Twój pociąg odjeżdża i jeśli chcesz coś w życiu osiągnąć, to musisz do niego wsiąść, nawet do ostatniego wagonu*. Natomiast mój mąż powiedział: *Kiedy urodziłaś drugą córkę – ja broniłem doktorat; ty zrezygnowałaś wówczas ze swojego doktoratu. Teraz, kiedy jest taka możliwość, skorzystaj z niej i jedź na studia do Polski. My sobie tutaj damy radę*.

JSz: No i co, wsiadłaś do tego pociągu, który powiózł Cię do Polski i otworzył przed tobą inny świat?

AG: Bardzo dziękuję za to moim ukochanym mężczyznom, którzy byli i są dla mnie prawdziwą opoką. Teraz wiem, że aby coś w życiu osiągnąć, trzeba mieć wsparcie bliskich ludzi. Nie była to łatwa decyzja, nie było mi też łatwo studiować, ale dzięki tej decyzji moje życie bardzo się zmieniło – oczywiście na lepsze.

Skończyłam Studium Komunikowania Społecznego i Dziennikarstwa na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w Lublinie. Studia trwały dwa lata, w trybie stacjonarnym. Zazwyczaj cztery dni byłam w Lublinie, a na koniec tygodnia jechałam do Lwowa, do rodziny. Pamiętam, jak dojeżdżałam do

Lwowa autobusem, często pełnym handlarzy z worami załadowanymi towarem.

JSz: Co Ci te studia dały, czego się tam nauczyłaś? Czy było to przydatne później w twojej codziennej pracy?

AG: Była to naprawdę dobra szkoła życia i dziennikarstwa. Mieliśmy wspaniałych wykładowców – byli to znani dziennikarze prasowi, radiowi i telewizyjni. To był czas, kiedy do telewizji i do mediów zaczęły wkraczać komputery.

Dyrektor Studium Komunikowania, ks. prof. Leon Dyczewski, kiedy nas żegnał i wręczał nam dyplomy po jego ukończeniu w roku 1997, powiedział o mnie: *Ta pani wraca do Lwowa i będzie nowoczesną dziennikarką, będzie mogła korzystać z komputerów i na pewno będzie ważnym łącznikiem Lwowa z Polską*.

Miałam dodatkowy powód do dumy, bo dyplom ukończenia studium wręczył mi sam Krzysztof Zanussi, znakomity reżyser filmowy, który również prowadził z nami zajęcia. Świadkami tego wydarzenia były moja mama i siostra.



Lwów

JSz: Pracę dyplomową zapewne pisałaś o Lwowie, bo… nie widzę innej możliwości.

AG: Oczywiście. W pierwszej chwili stwierdziłam, że będę pisać o Lwowie, tak od serca. Po rozmowie z moją promotorką Anną Kaczkowską – jedną z najlepszych wówczas dziennikarek Radia Lublin – doszłam do wniosku, że temat zawężę i opiszę Cmentarz Łyczakowski.

W latach 90. polskie władze rozpoczęły trudne rozmowy ze stroną ukraińską na temat renowacji tego cmentarza. Planowano

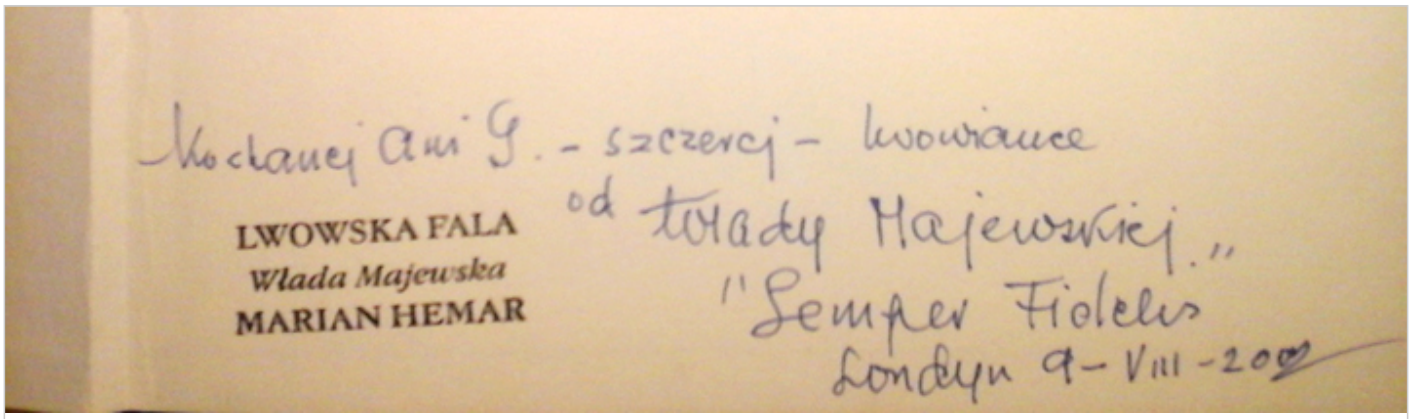
ukończenie prac w roku 1998. Kiedy pisałam tę swoją pracę, któregoś dnia przyszłam na cmentarz. Prowadzono właśnie prace ekshumacyjne. Zobaczyłam ciała obrońców Lwowa, tak zwanych Orląt, którzy zmarli śmiercią naturalną wiele lat później i byli pochowani nieco dalej od tych, którzy zginęli w walce. W latach 70. przez te nagrobki została poprowadzona asfaltowa droga.

Przyszłam z mikrofonem, aby nagrywać rozmowy. Przy ekshumacji pracowała wówczas ekipa katyńska pod kierownictwem prof. Andrzeja Koli z Torunia. Nigdy nie zapomnę tego momentu: zobaczyłam rozkopane groby, ludzkie czaszki na wierzchu, kości rąk i… po prostu przestraszyłam się. Prof. Kola powiedział wtedy do mnie: *Niech się pani nie boi tych ludzi w grobach. Trzeba się bać żywych, którzy nie zawahali się zbudować drogi na grobach ludzi*.

Wiele razy przychodziłam potem na cmentarz i zaprzyjaźniłam się z tą ekipą. Kiedy wreszcie w 2005 roku nastąpiło otwarcie odrestaurowanego Cmentarza Łyczakowskiego i dla mnie zabrakło miejsca w pierwszych rzędach podczas tej uroczystości, cała ekipa z prof. Kolą wstała i zaprosili mnie do siebie. To są momenty, których nie sposób zapomnieć. Tytuł mojej pracy brzmiał: *Wspólnota żywych i umarłych*. Opisałam historię Cmentarza Łyczakowskiego wraz z Cmentarzem Orląt i wiele miejsca poświęciłam właśnie ekshumacji.

JSz: Skończyłaś studia w Lublinie i wróciłaś do Lwowa. Czy właśnie wtedy trafiłaś do Polskiego Radia Lwów?

AG: Tak, podjęłam pracę w radiu. Była to praca w pełni społeczna, nikt tam nie miał etatu. Radio powstało w 1992 roku, więc już w trakcie studiów współpracowałam z tą rozgłośnią – przede wszystkim przekazywałam korespondencje z Lublina. Kiedy ruszałam na miasto z mikrofonem w ręku i słuchałam znakomitych ludzi, uświadomiłam sobie, że najważniejszy dla mnie jest Lwów. Starałam się gromadzić jak najwięcej informacji o tym mieście, czym ono było kiedyś dla Rzeczypospolitej, dla Polaków. Spotykałam wielu ludzi, którzy pamiętali dawny Lwów i dawne życie na Kresach, nagrywałam ich. Cieszę się, że nagrałam tylu wspaniałych ludzi, że miałam możliwość ich spotkać, dotknąć ich, porozmawiać z nimi.



Dedykacja od Włady Majewskiej.

Zaczęłam nadawać korespondencje ze Lwowa do różnych

rozgłośni w Polsce, ale także za granicą – w tym do Chicago oraz do polskiej sekcji Radia BBC w Londynie. Dostałam zaproszenie do Anglii, gdzie spotkałam się z legendą przedwojennego Radia Lwów Władą Majewską. Była wówczas ostatnią żyjącą osobą, która w tym radiu pracowała. Podczas nagrania wywiadu pani Włada rozpłakała się i powiedziała: *Wszystko bym oddała, aby tylko wrócić do Lwowa*. Usiłowałam jej wytłumaczyć, że tamtego Lwowa już nie ma, że to jest już inne miasto. A ona wówczas zauważyła: *Tak, to prawda, ale miasto to nie są tylko kamienice. Miasto to przede wszystkim ludzie, którzy tworzyli ten niesamowity Lwów, którzy decydowali o jego klimacie i charakterze*. To spotkanie utkwiło mi w pamięci do końca życia. Na półce pozostało kilka książek, podarowanych mi przez nią z dedykacją… Włada Majewska zmarła w wieku stu lat.

Kiedy ci znani i mniej znani ludzie zaczęli odchodzić, nagle zaczęłam mieć pretensje do siebie, no bo przecież mogłam spotkać się z nimi, wysłuchać ich, nagrać, ocalić wiele ciekawych informacji, refleksji i przeżyć.

JSz: Wiem o czym mówisz… Ja już dawno uświadomiłem sobie, że nie ma takiej możliwości, aby do wszystkich ludzi, którzy nas zadziwiają czy zachwycają, dotrzeć, aby z nimi porozmawiać i utrwalić ich wiedzę i refleksje. Jeśli uda nam się zatrzymać w czasie chociaż niektórych z nich, to już jest powód do satysfakcji.

AG: Najpierw, kiedy jesteśmy dziećmi, widzimy, że odchodzą ludzie w wieku naszych dziadków, a potem w wieku rodziców. Teraz odchodzą nasi rówieśnicy… To zaczyna się rozumieć dopiero wówczas, kiedy człowiek osiąga wiek dojrzały. Dlatego zaczynam się śpieszyć, aby spotkać i nagrać jak najwięcej wspaniałych ludzi. Wiele wypowiedzi tkwi w mojej głowie, zmuszają mnie do refleksji. To jest to, co nas rozwija. Ksiądz Jan Twardowski napisał genialne słowa w swoim wierszu: *Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą…*

JSz: Ile lat pracowałaś w Polskim Radiu Lwów? Kiedy i dlaczego z niego odeszłaś?

AG: Praca w radiu mnie fascynowała, wszystko co robiliśmy dawało nam radość, odczuwaliśmy, że jesteśmy potrzebni w polskim środowisku we Lwowie. Łączyły nas młodość, pasja i satysfakcja z pracy społecznej. Przepracowałam w radiu prawie 20 lat. Odeszłam na początku 2014 roku.

Zawsze jest tak, że coś się kończy… Postanowiłam poszukać dla siebie innego miejsca. Nie wolno bać się wyzwań, czegoś nowego. Jeśli coś przestaje się układać albo czujesz, że drepczesz w miejscu, to warto to zmienić. Odeszłam z radia i po kilku miesiącach dostałam propozycję pracy w „Kurierze Galicyjskim”.

Nie przyszło mi to lekko. Na szczęście za mocno nie bolało, bo jednak zostałam w mediach i robię to, co robiłam wcześniej, tylko troszeczkę inaczej.

JSz: Czym zajmujesz się w „Kurierze Galicyjskim", jaką problematyką?

AG: „Kurier Galicyjski" powstał 8 lat temu. Jego założycielem, wydawcą i redaktorem naczelnym jest Mirosław Rowicki. On sam mówi, że kiedyś opisze swoją historię w pamiętnikach – zostawię więc to jemu. „Kurier Galicyjski" to największe polskie medium na Ukrainie. To nie tylko „papierowa" gazeta o nakładzie przekraczającym 10 tysięcy egzemplarzy. To także portal internetowy z powodzeniem spełniający rolę internetowej gazety codziennej – www.kuriergalicyjski.com. Wydajemy też pismo dla dzieci „Polak Mały". Dwa lata temu powstała nasza telewizja, dostępna na razie w internecie na kanale YouTube: www.youtube.com/user/Kuriergalicyjski.

Niedawno ruszyło we Lwowie nasze radio, które współpracuje z Radiem Wnet w Warszawie, prowadzonym przez Krzysztofa Skowrońskiego. Na pewno będziemy się rozwijać. Na łamach gazety czytelnik może znaleźć różne tematy: od kulturalnych, sportowych, historycznych, poprzez społeczne, po aktualne wydarzenia polityczne. Jeśli trzeba przygotować bieżące informacje czy materiały to oczywiście to robię, ale przede

wszystkim postanowiłam robić dalej to, co robiłam przez tyle lat w radiu – chcę zachować w pamięci swojej i ludzi te postacie, które są tego warte, bo są – bądź byli – wielkimi Polakami. Staram się też odnajdywać i nagrywać ciekawych ludzi z Kresów.

W pewnym momencie w „Kurierze Galicyjskim" moim żywiołem stała się telewizja. Film, pokazujący człowieka i zawierający jego wypowiedzi, ma zdecydowanie większą wartość dokumentalną, aniżeli sam głos nagrany na taśmie czy na elektronicznym rejestratorze. Staram się więc takie materiały filmowe obecnie realizować.

Rok temu, podczas Przeglądu Filmów Polskich „Pod Wysokim Zamkiem", odbyło się spotkanie z legendą polskiego kina Danutą Szaflarską. Miałam możliwość zadania kilku pytań słynnej aktorce i oczywiście zapytałam, czy była kiedykolwiek we Lwowie. Odpowiedziała, że dawno marzyła o tym, aby przyjechać do naszego miasta. Przyznała się, że przed wojną miała propozycję studiowania we Lwowie, ale nie zdążyła… A wojna zmieniła wszystkie plany. To wspaniała aktorka, kobieta pełna pogody ducha – z takich ludzi trzeba brać przykład. jak uśmiech upiększa każdego człowieka. W wieku 99 lat przyjechała po raz pierwszy do Lwowa! Czyli nigdy nie jest za późno.

Później obejrzeliśmy film dokumentalny o jej życiu i twórczości. Wyszłam ze spotkania zauroczona panią Danutą i natchniona.

Spotkałam przy wyjściu z kina Zbigniewa Chrzanowskiego – aktora, reżysera i dyrektora Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie. Zapytałam go, czy zgadza się na to, abym nakręciła film o nim i o teatrze…

Obecnie pracuję nad największym swoim dziełem – 30-minutowym filmem dokumentalnym, który będzie nosił tytuł „Moje magiczne miejsca". Jest to sentymentalna wędrówka Zbigniewa Chrzanowskiego, z którym odwiedzamy najważniejsze miejsca związane z historią i działalnością przedwojennej sceny polskiej we Lwowie. Film ten był przedstawiony na festiwalu filmów emigracyjnych EMIGRA w Warszawie.

JSz: Czy „Kurier Galicyjski" jest dostępny w Polsce?

AG: Jest to aktualnie największe polskie pismo dostępne w całej Ukrainie. Ma się dobrze i nawet się rozwija. Jest dostępne w Warszawie i Przemyślu. Można też zamówić prenumeratę do Polski i innych krajów za pośrednictwem naszej redakcji. Wystarczy wysłać e-mail na adres kuriergalicyjski@wp.pl. Jeśli ktoś chce zobaczyć, co i jak robimy, to mamy, jak już wspomniałam, własny portal internetowy: www.kuriergalicyjski.com Tam też można przeczytać każdy numer „Kuriera" w pdf-ie, a także obejrzeć nasze filmy. Mamy sporo współpracowników w Polsce, piszą też do nas pasjonaci z całego świata. Główna siedziba redakcji jest we Lwowie.

JSz: Jakie inne polskie media – oprócz Polskiego Radia Lwów i „Kuriera Galicyjskiego” – istnieją we Lwowie i innych miastach Ukrainy?

AG: We Lwowie nie ma aktualnie innych polskich mediów, oprócz tych, które wymieniłeś, jeśli nie liczyć wydawanego w niewielkim nakładzie kwartalnika Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie – „Nasze Drogi”. Nie mamy tu też żadnych gazet z Polski. Nie ma już, niestety, polskiej księgarni, która istniała w czasach Związku Radzieckiego. Niestety teraz, kiedy ludzie często nie mają na chleb, a ceny polskich książek są wysokie – po prostu nie stać ich na taki wydatek. Dzięki internetowi nie ma dzisiaj problemu ze słuchaniem polskich stacji radiowych czy oglądaniem programów telewizyjnych – niestety, większość z nich jest zakodowana.

Na Ukrainie jest kilka polskich rozgłośni radiowych i telewizyjnych. Poza Lwowem i Stanisławowem, gdzie nadawana jest w eterze, tworzona przez „Kurier Galicyjski”, audycja „Na polskiej fali”, istnieje też polska rozgłośnia w Berdyczowie. Polskie audycje telewizyjne nadawane są w Winnicy, Żytomierzu i Łucku.

Wydawane są też polskojęzyczne gazety. W Winnicy, na Podolu, jest to miesięcznik „Słowo Polskie”, a w Kijowie dwutygodnik „Dziennik Kijowski” i kwartalnik „Krynica”. W mieście Ostróg

wydawane jest „Wołanie z Wołynia”, a w Berdyczowie – „Mozaika Berdyczowska”. W Łucku wydawane jest dwujęzyczne pismo „Monitor Wołyński”. Istnieje też kilka lokalnych czasopism, które jednakże są wydawane w niewielkim nakładzie.

JSz: Aniu, poznaliśmy się latem, w roku 1998, w Clifton w stanie New Jersey, kiedy przyjechałaś do USA na zaproszenie Iwony Rachelskiej, ówczesnej szefowej telewizyjnego programu Studio 3. Udzieliłaś mi wywiadu, który ukazał się na łamach „Nowego Dziennika”. Mówiłaś wówczas pięknie o swoich trzech miłościach… Przypomnij zatem, jakie są te twoje miłości.

AG: Miałam wtedy trzy swoje miłości: polski Lwów, polską szkołę imienia Marii Magdaleny i Polskie Radio Lwów. Radio Lwów na pewno pozostanie dla mnie ważnym miejscem, bo oddałam mu prawie 20 lat swojego życia. Wielokrotnie groziło mu zamknięcie. Ratowaliśmy je dzięki wsparciu przyjaciół z zewnątrz – między innymi dzięki tobie, Januszu. Dzisiaj i zawsze będę tym wszystkim osobom wdzięczna, że pomagali nam ratować radio. A przecież była to nasza praca społeczna, płynąca z potrzeby serca. Dzisiaj doszła jeszcze czwarta miłość – do „Kuriera Galicyjskiego”.

Moje córki w pewnym momencie nawet się na mnie obraziły, że tak mówiłam, ale wyjaśniłyśmy sobie, że dom i rodzina to jest moja sfera prywatna, która podlega ścisłej ochronie i oczywiście

jest dla mnie najważniejsza.



Anna Gordijewska, fot. Janusz Szlechta

JSz: W 2002 roku spotkaliśmy się ponownie, tym razem w Tarnowie, podczas X Światowego Forum Mediów Polonijnych, które przez dwadzieścia lat organizowało Małopolskie Forum Współpracy z Polonią. Ja przyjeżdżałem jako dziennikarz nowojorskiego „Nowego Dziennika”, a ty jako dziennikarka Polskiego Radia Lwów. Wróćmy więc na chwilę do tamtych czasów, Forum dla dziennikarzy polskich rozsianych po świecie było bowiem bardzo ważnym wydarzeniem. Nie sposób o nim

zapomnieć…

AG: Forum było ogromnie ważnym wydarzeniem, połączyło bowiem polskich dziennikarzy ze Wschodu z tymi z Zachodu. Dzięki Forum stało się coś, co było praktycznie nieosiągalne, ba, trudno było sobie coś takiego wyobrazić. My ze Lwowa, dzięki Forum, zyskaliśmy możliwość bezpośredniego kontaktu z kolegami z krajów zachodnich, także z USA. Te kontakty znakomicie owocują do dziś. Zawiązały się liczne przyjaźnie, nawzajem odwiedzamy się w różnych krajach, wspomagamy się dziennikarsko. Jak ktoś zajrzy na chwilę do Polski, natychmiast pędzimy jeden do drugiego, aby bodaj na chwilę się spotkać. Czegoś takiego nie mogłabym nawet wyśnić…

To, co robiliśmy na Forum Mediów Polonijnych, co przeżywaliśmy, czego uczyliśmy się – dzisiaj mogę to zupełnie szczerze powiedzieć – jest to nasz ogromny kapitał, który procentuje do dziś. Cały czas byliśmy przed kamerami i mikrofonami polskich stacji telewizyjnych i radiowych, udzielaliśmy wywiadów nawzajem jeden drugiemu – i to mnie również bardzo inspirowało. Dzisiaj bardzo żałuję, że wówczas nie nagrałam wywiadów z osobami, które już odeszły. Właśnie dopiero wtedy, kiedy ktoś odejdzie na zawsze, łapiemy się za głowę i mówimy: a dlaczego nie nagrałam z nim rozmowy, nie utrwaliłam tego, co ten człowiek miał do powiedzenia?!

Dzięki Forum moje Radio Lwów nawiązało współpracę z polskim radiem w Chicago. Co środę jeden z dziennikarzy telefonował do nas i przekazywał informacje nie tylko o tym, co działo się w środowisku polonijnym, ale również o normalnym życiu Ameryki.

Kiedy przyjechał do Lwowa Jan Paweł II w 2001 roku, dzwonili do nas i pisali koledzy z Ameryki, ze Szwecji czy z Argentyny i pytali, jak wygląda Lwów przed przyjazdem papieża, co robimy, jak się przygotowujemy… Bo akredytowani dziennikarze przyjechali do Lwowa dopiero w dniu przyjazdu papieża. Podobnie było wówczas, kiedy wreszcie nastąpiło otwarcie Cmentarza Orląt Lwowskich w 2005 roku. Aby oddać atmosferę, wiedzieć coś więcej, trzeba być jednak na miejscu, trzeba w tym wydarzeniu uczestniczyć… a my byliśmy na miejscu.

JSz: Jedną z najstarszych istniejących polskich instytucji kulturalnych we Lwowie jest Polski Teatr Ludowy, który został założony w 1958 roku. Od wielu lat jesteś związana z tym teatrem, grywasz w różnych sztukach. Jak to się stało: przypadek czy autentyczna potrzeba zaprowadziła Cię na scenę?

AG: To było w maju w roku 2001. Zadzwoniła do mnie Jadwiga Pechaty, moja koleżanka, od zarania dziejów grająca w tym teatrze. *Aniu, przygotowujemy „Kartotekę" Różewicza – powiedziała – i potrzebujemy pilnie, aby ktoś zagrał dziennikarkę. Pomyślałam sobie, że ty będziesz świetna w tej roli*

– dodała. Byłam zaskoczona, zmieszana. *Nie wiem, czy sobie poradzę?* – próbowałam się bronić. *Nie martw się, poradzisz sobie* – przekonywała mnie Jadwiga.

No i zgodziłam się. Była to ostatnia scena. Usiadłam na łóżku, wzięłam do ręki mikrofon i zaczęłam rozmawiać z głównym bohaterem, którego grał Zbigniew Chrzanowski. Pamiętam do dziś, jak drżała mi ze zdenerwowania ręka, w której trzymałam mikrofon. Przerażona pomyślałam, żeby tylko głos mi tak nie drżał… Ale w tym momencie nastąpiło olśnienie. Uświadomiłam sobie, że przecież w przeszłości kilka razy przeprowadzałam wywiady z panem Chrzanowskim – dyrektorem teatru, który kieruje nim do dziś. Oddzieliłam widownię od siebie i zaczęłam z nim rozmawiać tak, jak kiedyś, kiedy we dwoje siedzieliśmy i rozmawialiśmy… A to, że pytania wymyślił Różewicz, wcale mi nie przeszkadzało. Wszyscy koledzy aktorzy bali się, jak to wyjdzie, bo to była praktycznie improwizacja w moim wydaniu, nie było bowiem czasu na przygotowania. Stali za kulisami i patrzyli, i wsłuchiwali się. Udało się i wszyscy odetchnęli z ulgą. Od tego momentu rozpoczęła się moja przygoda z teatrem.

JSz: Jest to teatr wprawdzie amatorski, ale prezentuje świetny poziom, stawia wysokie wymagania aktorom i niełatwo dostać się do zespołu – oznacza to, że jesteś po prostu szczęściarą.

AG: To nie ulega wątpliwości. Dyrektorem teatru i głównym

reżyserem jest Zbigniew Chrzanowski – postać wielka i znana. W spektaklach gra wiele wspaniałych aktorek, które poświęciły się temu teatrowi bez reszty. Przeważają Polacy, ale są też Ukraińcy i Rosjanie. Warto wspomnieć, że wiele lat pracował w tym teatrze – jako scenograf i aktor – Walery Bortiakow, który był Rosjaninem, Sybirakiem. Tak zakochał się w tym polskim teatrze, i tak mu dobrze było wśród Polaków, że często podkreślał: *Ja jestem największym Moskalem wśród Polaków*.

Niestety, kilka lat temu odszedł od nas na zawsze. Pomagał w przygotowaniu dekoracji na obchody Święta 3 Maja i spadł z drabiny. Wkrótce potem zmarł. Miał niewiele ponad 60 lat. Bardzo nam go brakuje. Na początku lipca 2015 roku Jadzia zaprosiła kolegów i koleżanki do siebie. *Dzisiaj są urodziny Walerego. Spotkajmy się* – napisała na Facebooku. Dzięki takim spotkaniom mamy nadzieję, że Walery patrzy na nas z góry i się cieszy. Znowu byłam szczęściarą, że miałam okazję go poznać i pracować z nim.

Teatr wystawia ambitne sztuki we Lwowie, ale znają nas też w Polsce, w Czechach i na Litwie. Bierzemy udział w licznych festiwalach teatrów polonijnych. I wówczas często spotykam przyjaciół, którzy kiedyś uczestniczyli w Światowym Forum Mediów Polonijnych.

Jest to teatr amatorski, ale są to amatorzy zaawansowani, którzy

grają od wielu lat. Każdy musi pracować, bo z czegoś trzeba żyć, ale teatr jest naszą pasją. Czujemy się jedną wielką rodziną. Najfajniejsze są momenty, kiedy siedzimy wszyscy w autobusie, a przed nami długa droga… Wtedy jest czas, aby porozmawiać, nacieszyć się sobą. Teatr stał się dla mnie bardzo ważny.



Pomnik Adama Mickiewicza we Lwowie.

JSz: Jakie spektakle prezentujecie? Jakie role grywasz?

AG: Gram na ogół malutkie role, ale nie to jest najważniejsze. Cieszę się, że jestem w teatrze, że mogę uczestniczyć w różnych spektaklach i w życiu ludzi tego teatru. W końcu nie każdy może być w życiu gwiazdą!

Ludzie powinni czasami zatrzymać się w swoich ambicjach, pomyśleć nieco inaczej o sobie, o życiu. Nam jest razem dobrze – i to jest najważniejsze.

JSz: No dobrze, ale nie powiesz mi, że ot, tak sobie, z przypadku, zostałaś aktorką i to Cię cieszy. Nigdy nie marzyłaś o tym, aby występować na scenie, grać w filmach, nie próbowałaś się realizować jako aktorka?

AG: Oczywiście, że marzyłam o tym, żeby być gwiazdą. Kiedyś, jako mała dziewczynka, na podwórku wystawiałam spektakle swojego teatru lalkowego, reżyserowałam spektakle według znanych bajek. Była kurtyna, dzieciarnia na widowni, bilety – wszystko jak w krainie Melpomeny.

W szkole podstawowej im. Marii Magdaleny był teatr, który prowadziła nasza polonistka, pani Maria Iwanowa. Teatr ten nazywa się Baj i do dziś działa. Pani Maria wymyśliła kiedyś coś takiego, że para ubrana po krakowsku podchodzi do półki, zdejmuje z niej książkę, otwiera i nagle ożywają postacie z tej książki. Ja grałam rolę pani Słowikowej – miałam wtedy 9 lat.

Ubrana byłam w piękny strój, który zrobiła mi mama. A sąsiad, który był malarzem, namalował do tego stroju pióra. Martwiłam się bardzo, dlaczego nie wraca do domu mój mąż – pan Słowik. A kiedy wreszcie się pojawił, powiedział: *Przyszedłem późno, bo wieczór był tak piękny, że szedłem piechotą*. Po spektaklu podszedł do mnie pan Leszczyc – starszy, dystyngowany pan, który uznał, że najlepiej prezentowałam się na scenie i wręczył mi ogromny kosz kwiatów. Były to pierwsze kwiaty, jakie otrzymałam od mężczyzny.

Kiedy byłam w ósmej klasie, zagrałam poważną rolę – byłam Telimeną w „Panu Tadeuszu" Adama Mickiewicza. Ale nie zbierałam mrówek… Pamiętam swoją kreację, która była pożyczona z Teatru Polskiego. Miałam wówczas długie włosy i mama zrobiła mi francuskie loki – długimi szczypcami, które rozgrzewała na gazie. Meble i lustra, które stały na scenie, pożyczały nam starsze wówczas panie, Polki – bo to były zachowane dobra rodowe. Wyszłam na scenę, potknęłam się, bo z trudem dźwigałam swój strój i omal nie upadłam nosem wprost w wystający gwóźdź. Zdołałam jednak utrzymać równowagę, ale z wrażenia zapomniałam swojej roli. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

JSz: Jesteś dziennikarką, bo wybrałaś ten zawód, ale jesteś również aktorką. No i jesteś przewodnikiem po Lwowie – masz stosowny dyplom. To też był Twój świadomy wybór, wynikający z

wewnętrznej potrzeby?

AG: Kiedy pracowałam społecznie w Radiu Lwów, gdzieś musiałam zarobić na swoje potrzeby i utrzymanie rodziny. Zarabiałam więc jako przewodnik po Lwowie. Pierwszą wycieczkę oprowadziłam w 2000 roku. Nigdy wcześniej nie przypuszczałam, że będę wykonywać dwie prace, które związane są z mikrofonem i gadaniem.

JSz: Czy teraz także, mimo wojny na wschodzie Ukrainy, oprowadzasz wycieczki po tym pięknym mieście?

AG: Oczywiście. Lwów, mimo wszystko, jest wciąż bardzo popularnym miastem wśród turystów. Nic dziwnego, drugiego takiego miasta przecież nie ma, a lwowska Starówka jest na światowej liście zabytków UNESCO.

Lwów żyje normalnie, jest piękny i pełen ludzi. Muszę jednak powiedzieć, że rok 2014 nie był dla przewodników dobry. Wojna sprawiła, że ludzie bali się podróżować. Po pewnym czasie Lwów znów zaczął przyciągać ludzi ze świata. W 2015 roku najwięcej przyjeżdża turystów z Polski – są to często podróże sentymentalne, powroty do przeszłości. Jeśli zapytam kogoś z Polski, co go tu, do Lwowa, sprowadziło, to prawie każdy odpowiada, że we Lwowie albo okolicach mieszkała kiedyś jego rodzina. Ktoś powiedział kiedyś, że wszystkie drogi prowadzą do

Rzymu, a mnie się wydaje, że drogi prawie wszystkich Polaków prowadzą do Lwowa.

Zawsze podkreślałam, że kocham rzeczy piękne, bo urodziłam się w pięknym mieście. We Lwowie można dotknąć ręką wszystkich stylów architektonicznych, poczynając od renesansu. Swój gust i zamiłowanie do architektury kształciłam właśnie na ulicach Lwowa.

JSz: Czy pojawiają się we Lwowie turyści z krajów zachodnich?

AG: Tak. Niedawno, w Podhorcach koło Lwowa, gdzie znajduje się jeden z najpiękniejszy polskich pałaców – pałac Koniecpolskich i Rzewuskich – spotkałam turystów, którzy przyjechali samochodem z rejestracją czeską. Okazało się, że byli to Niemcy. Kiedy zapytałam ich, co tu robią, czego szukają, odpowiedzieli: *Wędrujemy śladami cesarza Franciszka Józefa*. Cesarz Austro-Węgier Franciszek Józef bywał w tym pałacu. Miał też swoją lożę w Operze Lwowskiej. Wychodziło się z niej bezpośrednio na dawną ulicę Legionów. Cesarz lubił przychodzić do opery podczas swoich pobytów w mieście, witał się z publicznością, a kiedy chciał wyjść – bo podobno lubił bardzo wcześnie chodzić spać – to po prostu po cichutku wychodził.

JSz: Co najchętniej pokazujesz zwiedzającym? Masz swoje ulubione miejsca?

AG: Oczywiście, ale zazwyczaj mamy określony program, dostosowany do danej grupy. Inny jest program dla grupy przebywającej we Lwowie jeden dzień, inny jest na dwa dni; zdarza się, że przygotowujemy program zwiedzania na trzy dni, ale rzadko – wtedy zazwyczaj grupa udaje się poza Lwów. W programie każdej grupy jest zwiedzanie Cmentarza Łyczakowskiego i Cmentarza Orląt Lwowskich.

Fenomenem Lwowa było to, że do II wojny światowej był stolicą trzech biskupów: obrządku rzymskokatolickiego, obrządku greckokatolickiego i ormiańskokatolickiego. Nawet Rzym nie był stolicą trzech biskupów. A trzy katedry, istniejące do dziś, są przepiękne i te katedry zawsze pokazujemy turystom. Rzymsko-katolicka szczególnie zapisała się w historii Polski, w niej bowiem 1 kwietnia 1656 roku złożył śluby król Jan Kazimierz.

W pałacu przy cerkwi świętego Jura, w 2001 roku, podczas jedynej wizyty we Lwowie, nocował papież Jan Paweł II. W tej cerkwi, pod batutą syna Mozarta – Ksawerego, odbyło się wykonanie słynnego „Requiem" napisanego przez ojca. Wybrał Lwów na miejsce koncertu, gdyż bardzo polubił to miasto, będące wówczas pod zaborem austriackim. Stąd też mamy we Lwowie słynną restaurację Amadeusz. Turyści często się dziwią, co tutaj robił kompozytor Mozart. My wyjaśniamy, że to nie Mozart, lecz jego syn Ksawery tutaj bywał. Kiedy miał 18 lat, założył we Lwowie Towarzystwo Świętej Cecylii.

A katedra ormiańska powstała w połowie XIV wieku, są w niej wspaniałe freski Jana Rosena. Po gruntownej restauracji, została ponownie otwarta w roku 2004, a na jej otwarciu pojawił się we Lwowie Charles Aznavour.

Ja kocham Lwów i z radością oprowadzam ludzi po tym mieście. I mogę o nim opowiadać w nieskończoność…

JSz: Czy chcesz przez to powiedzieć, że turysta jest skazany na przewodnika?

AG: No, może nie aż tak… Ale z przewodnikiem łatwiej i szybciej można poznać miasto i zaprzyjaźnić się z nim. Każdy turysta jest inny, różną ma wiedzę historyczną: dla jednych podawanie dat, nazw i nazwisk jest bez sensu, bo i tak nic z tego nie zrozumieją, a dla innych z kolei jest to nudne, bo to znają. Dlatego ja staram się opowiadać o Lwowie tak, jak pisali o nim Janicki czy Witold Szołginia. Już wielokrotnie mnie pytano, czy nie chciałabym napisać swoich opowieści o Lwowie. Owszem, chętnie, ale na razie nie mam na to czasu. Ale pomyślę o tym. Te opowieści dobrze jest ilustrować, bo turysta lubi oglądać obrazy czy zdjęcia, które pozostają w pamięci.

Najtrudniej jest oprowadzać młodzież, bo nie jest łatwo ją zaciekawić. Często robię więc tak, że ogłaszam konkursy z nagrodami. Pokazuję im na przykład widokówki, a potem

pokazuję te obiekty, które widzieli na widokówkach. I jeśli ktoś zgadnie, że zabytkowy obiekt, który właśnie oglądamy, pokazałam na drugiej widokówce – ten otrzymuje nagrodę. I to sprawia, że młodzi ludzie zapamiętują to, co oglądali. Staram się też przeplatać opowieści o Lwowie moimi wspomnieniami o tym mieście: co mówiły moje babcie, co opowiadała mi mama, przytaczam fajne powiedzonka, recytuję czasem zapomniane wiersze… To sprawia, że ta opowieść o mieście nie jest jedynie historią, a miasto staje się normalne, bliższe.



Ulica we Lwowie.

JSz: Urodziłaś się i wychowałaś we Lwowie, w dawnym Związku

Radzieckim, w zupełnie innych realiach niż dzisiejsze. Udało Ci się jednak zachować polskość, świetnie mówisz po polsku. Czy to zasługa domu rodzinnego?

AG: Pochodzę z rodziny mieszanej: mój ojciec jest Rosjaninem, urodził się na Syberii, ale matka jest Polką z krwi i kości. Poza ojczyzną nie jest łatwo zachować polskość. A trzeba pamiętać, że my nie jesteśmy na emigracji – my jesteśmy Polakami, od których ojczyzna odeszła. Moja mama Maria zadbała o ty, aby w domu wszyscy mówili po polsku, aby żyły polskie tradycje i polski język. Matka Polka to potrafi. W małżeństwach mieszanych wszystko w rodzinie zależy od matki Polki.

Ale też ważne jest to, w jakim środowisku się żyje. We Lwowie mamy dwa polskie kościoły: katedrę i kościół św. Antoniego, które nigdy nie były zamknięte, podobnie jak dwie polskie szkoły – i to nas uratowało. Bywając w innych miasteczkach i miastach na Ukrainie zrozumiałam, że tam, gdzie nie ma kościoła z mszą odprawianą po polsku, albo szkoły polskiej – język polski ginie. Zachować go w rodzinach, które najczęściej są mieszane – jest bardzo trudno.

Mama oddała mnie do polskiej szkoły, pomimo że w tamtych latach – a były to lata 60. – ani nie było to dobrze widziane, ani też nie przynosiło prestiżu. Dzisiaj szkoły polskie są bardzo modne, między innymi dlatego, że od kilku lat nasza młodzież

może studiować w Polsce. Zasada jest taka: Polska kształci naszą młodzież po to, aby potem wracała do Lwowa i na Ukrainę. Ale niewielu wraca. I nie można mieć im tego za złe.

JSz: Klasycznym przykładem są Twoje córki…

AG: To prawda. Obie skończyły we Lwowie polską szkołę, w której ja się uczyłam, a potem studiowały w Polsce. Skorzystały ze specjalnego programu Ministerstwa Edukacji Narodowej dla rodzin pochodzenia polskiego. Kasia jest lekarzem chirurgiem, a Eliza jest farmaceutką. Obie mieszkają i pracują w Krakowie. Nasze pokolenie nie miało tej możliwości, aby studiować w Polsce. Dzisiaj jestem szczęśliwa, że moje córki mogły studiować w Polsce, że żyją i pracują w Krakowie.

JSz: Dzięki Światowemu Forum Mediów Polonijnych bywałaś raz w roku w Polsce. Teraz w Polsce bywasz bardzo często, no bo trudno żyć z dala od dzieci i wnuków. Jak ją odbierasz, jak się tutaj czujesz?

AG: Różnie Polacy mówią o swojej ojczyźnie, ale dla mnie Polska jest wspaniałym krajem. Najczęściej bywam w Krakowie, u moich córek, bo teraz mogę. Bacznie obserwuję Polskę od roku 1979. I muszę powiedzieć, że Polska bardzo się zmieniła, wypiękniała. Wioski i małe miasteczka, kiedyś brzydkie, zacofane i biedne, dzisiaj są piękne, zadbane, robią wspaniałe wrażenie. Polska nie

musi się już wstydzić, jak kiedyś, pokazywać ludziom ze świata. Bo jest piękna!

JSz: Wciąż pędzisz, trudno za tobą nadążyć… Ale często uśmiechasz się, a zatem nie jest źle. Czujesz się spełniona?

AG: Jestem szczęśliwym człowiekiem, bo robię to, co lubię… Staram się cieszyć każdym dniem, każdym napotkanym człowiekiem, zrealizowanym wywiadem – bo uświadamiam sobie, że przecież nie dam rady sama wszystkiego zrobić, spotkać się ze wszystkimi, nagrać, utrwalić. To nie jest możliwe.

Kiedy zaczęłam pracować jako dziennikarka, moja mama w pewnym momencie powiedziała mi: *Ty zaczynasz robić za gwiazdę*. Wydaje mi się, że każdy, kto ma do czynienia z pracą twórczą, a więc aktor, dziennikarz czy malarz, w pewnym momencie jest dostrzegany przez ludzi, idą za tym nagrody, wywiady, uznanie. Zaczyna rosnąć, a nawet – jak mówiła moja babcia – woda sodowa troszeczkę uderza do głowy. Bo człowiek powinien być dowartościowany, czuć, że robi to, co jest ważne dla niego i dla innych. A ja czuję się dowartościowana. Także wtedy, kiedy ktoś, kogo oprowadzałam po Lwowie, mówi mi, że dziękuje mi za to, co mu pokazałam i o czym mówiłam, i że musi tutaj jeszcze wrócić.

JSz: Kiedy po odwiedzinach córek w Krakowie wracasz do

Lwowa, nie czujesz lęku, obawy, że może jednak trzeba było zostać tam, nad Wisłą, bo tam jest spokojnie, pięknie i bezpiecznie?

AG: Nigdy w życiu nie spodziewałam się, że będę żyć w kraju, w mojej ojczyźnie, w której będzie wojna. I chociaż ta wojna nie dotyka nas bezpośrednio, nie widzimy jej, ale ona jest bardzo blisko nas, czujemy ją.

Cieszmy się każdym dniem, cieszmy się życiem. Za dużo czasu wszystkim Polakom, również we Lwowie, zajmują bezsensowne kłótnie. Zamiast kłócić się, powinniśmy się nawzajem wspierać, bo jest co robić. A kiedy będziemy się nawzajem szanować, rozumieć i wspierać, na pewno osiągniemy więcej i wszystkim nam będzie lepiej. Zawiść zżera, a kłótnie zabierają czas i energię. Jeśli chcemy być bliżej siebie i pracować wspólnie, aby zachować polskie tradycje i kulturę – to powinniśmy unikać wszelkich waśni. Bo przecież wszyscy Polacy mamy jeden cel, zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie – żeby jak najdłużej zachować polskość. Róbmy więc jak najlepiej swoje.

JSz: Żałuję, że nie miałem nigdy okazji zwiedzać Lwowa pod Twoim przewodnictwem. Mam nadzieję, że któregoś dnia przyjadę do tego miasta, z którym i moja rodzina była kiedyś mocno związana, i oprowadzisz mnie po Lwowie…

AG: Zapraszam z całego serca. Pięknych miast na świecie jest bardzo wiele, ale Lwów pozostanie dla lwowiaków – także i dla mnie – najpiękniejszym miastem, bo… to są przede wszystkim sentymenty, bo tu serce przemawia. Pozostają wspomnienia z dzieciństwa. Kiedy do nas przyjeżdżają kresowiacy, często mówią: *U was jest inne powietrze i nawet trawa jest innego koloru!*. Dalej więc robię swoje i… już się nie zatrzymam.

Wywiad pochodzi z książki Janusza M. Szlechty „Widziane stamtąd. Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie", wyd. Instytut Wydawniczy Kreator, 2017 r.



W rytmie korzeni.

Urszula Kozioł.



Urszula Kozioł, fot. Elżbieta Lempp, culture.pl

Korespondencja z Polski

Włodzimierz Wójcik

Krainę własnej młodości Urszula Kozioł wspomina w swoich wierszach jako świat cudownie zielony, wielobarwny, po prostu –

rustykalny. Możemy go sobie doskonale zrekonstruować poprzez lekturę jej wiersza *Pejzaż z pamięci* z tomu *W rytmie korzeni* (1963). Poetka pisze:

> W przewlekłość nieba odlatują wrony
>
> i piwne liście drzewa na odchodnym
>
> są podwajane dotkliwie przez wody
>
> W miedzianym pyle gniade kłęby kobył.

W tej cudownej krainie mamy „czerstwym mlekiem napęczniałe skopki", „Praczki na kładkach drewnianych klęczące", garnki wiszące na kołkach, kobiety niosące „ołowiane tace słonecznika", „napojone konie", które wchodzą w otwarte wrota stajni. Wyposażona w takie krajobrazy, które zapadły jej w serce i doznania, jakie one wywoływały, w wiedzę zdobytą w Liceum Ogólnokształcącym imienia Marii Konopnickiej w Zamościu, obeznana z obyczajowością swojej „najbliższej ojczyzny", czująca świeżość Sanu, Tanwi i zapach Roztocza, szła w świat z niebagatelnym bogactwem, które nieco później eksploatowała w swej sztuce pisarskiej.

Z cudownej krainy wczesnej młodości trafiła do wspaniałego ośrodka uniwersyteckiego z wielością kulturotwórczych instytucji. Podjęła studia polonistyczne na Uniwersytecie Wrocławskim. Pierwszy stopień uzyskała w 1953 roku; pełne studia magisterskie finalizowała w roku 1969. W latach 1954-1972 pracowała jako nauczycielka najpierw w Bystrzyce Kłodzkiej, potem we Wrocławiu. Była redaktorem wielu pism literackich, aktywnym animatorem kultury. Jej zasługi zostały jednoznacznie określone. Otrzymała doktorat honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego.

Jest powieściopisarką, dramaturgiem, eseistką. Przede wszystkim poetką. W klimacie popaździernikowej odnowy życia polskiego rozwinęła twórczość poetycką. Początkowo swe wiersze zamieszczała w prasie. W krótkim czasie znalazła się w czołówce polskich poetów współczesnych. Między rokiem 1957 a 2005, czyli w ciągu 48 lat wydała drukiem szesnaście tomów wierszy: *Gumowe klocki*, *W rytmie korzeni*, *Smuga i promień*, *Lista obecności*, *Poezje wybrane*, *W rytmie słońca*, *Wybór wierszy* (1976), *Poezje wybrane II*, *Wybór wierszy* (1986), *Żalnik*, *Dziesięć lat przed końcem wieku*, *Postoje słowa*, *Wielka pauza*, *Wiersze niektóre*, *Stany nieoczywistości*, *Supliki* (problematyka przemijania i oswajania śmierci).

Wynika z tego, że nie ma tutaj mowy masowej produkcji poetyckiej. Poetka jest niespieszna, rozważna i wydaje zbiorek

wierszy średnio co trzy lata.

Pochodząca z Ziemi Biłgorajskiej, znad Tanwi Urszula Kozioł jest od dziesięcioleci wielką osobowością w wielkomiejskim środowisku dolnośląskim. Swoją wielostronną aktywnością zakorzeniła się w niezwykłym polskim mieście, we Wrocławiu. Ale dlatego nie przestaje twórczo owocować, gdyż nieprzerwanie żyje i tworzy – jak dawniej, za lat młodych – „w rytmie korzeni". Urszulę Kozioł czyta się dzisiaj bezustannie, tak, jak Wisławę Szymborską, Tadeusza Różewicza, Czesława Miłosza, Zbigniewa Herberta, czy na przykład Stanisława Barańczaka.

W jej poezji widać doskonałe osadzenie się na konkrecie i jednoczesną zadumę nad sensem życia i głęboką refleksję filozoficzną. Jawi się przeświadczenie, że to, co w życiu odchodzi i przemija, bo umierać musi, w poezji może ożyć i powrócić. Ważne miejsce w tej poezji zajmuje temat bezustannej wędrówki. Człowiek żyje pod ciśnieniem przemienności losu, przeżywa wielorakie nastroje. Poszukuje najlepszego miejsca w życiu, aby po osiągnięciu celów czuć niezadowolenie, nawet dotkliwe rozczarowanie. Poszczególne istnienie ma charakter ulotny. Natomiast byt okazuje się trwały, nieustający. Wiele miejsca poświęca refleksji na temat procesu i tajników tworzenia. Stąd też autotematyzm tej poezji. Warsztat Urszuli Kozioł cechuje wielka pomysłowość w wyzyskiwaniu wielu rozwiązań

wersologicznych. Poetka jest mistrzynią miniatury poetyckiej o krystalicznej czystości językowej. Dość przywołać z tomu *Wybór wierszy* (1976) wiersz pod tytułem *Piosenka*:

> Już głos piewika
>
> cieniem błękitnym
>
> tańczy w upale
>
> i wartki karmin
>
> dzikiej firletki
>
> śmiga przez trawy
>
> a ja w podróży
>
> a ja bez pary
>
> dzisiaj niczyja
>
> w listku na wodzie
>
> w płytkim obłoku

> sobie przemijam

– aby przekonać się o walorach leksykalnych, stylistycznych tej mądrej i bardzo ciepłej poezji, w której dyskretnie manifestuje się wsłuchiwanie się w głos natury połączone z egzystencjalna zadumą. Nieco podobne walory widać w jednym z nowszych wierszy poetki (*Wielka pauza* – 1996) noszącym tytuł *Przechadzk*a:

> Mówię do ciebie: spójrz –
>
> czy ten kamień, albo skrzydło
>
> owada
>
> nie układa się w taki deseń
>
> jakby głównym celem natury
>
> miał być ornament?
>
> Zmierza ku temu ryba
>
> gwiazda na firmamencie

> i kolec
>
> choćby na tej giętkiej gałązce
>
> jeżyny.
>
> A ty zaprzątnięty własnymi
>
> myślami
>
> mruczysz „to tylko fasada”
>
> i słowo „fasada” w odniesieniu
>
> do tego
>
> o czym ja myślę
>
> przejmuje mnie nagłym
>
> chłodem

Wiersze Urszuli Kozioł czyta się z potrzeby serca z wielkim pożytkiem. Sięgają po nie poloniści, młoda inteligencja,

intelektualiści, ale także przeciętni czytelnicy bez większego wykształcenia. W tych wierszach znajdują żywą, soczystą polszczyznę, bliskie sercu myśli, człowieczą mądrość, nieśmiertelne pejzaże dzieciństwa, wieczorną muzykę idącą znad rzek i jezior. Tych z Zamojszczyzny i tych z Ziemi Dolnośląskiej…

prof. Włodzimierz Wójcik zmarł w 2012 r.

Poranek na bagnach – haiku

Fotografie: Anna Fiala

Tekst: Adam Fiala



Poranek na bagnach

Ma swój rytuał

Ciszę wzbogacają ptaki



> Niby pchły
>
> Maleńkie kangury
>
> Skaczą w zieleni wzgórz



> One ze sobą konkurują
>
> Która kałuża

> Więcej odbija obrazu nieba



> O wschodzie słońca

> Chmura zwraca się do nas
>
> Swą okrągłą twarzą



> Ja idę do przodu
>
> Ty idziesz do tyłu
>
> Podświetloną słońcem plażą



> Krwotok nieba
>
> Niegroźny
>
> Bo tworzą go chmury



Niebo także

Ma swoją

Baletnicę